Nr. 5 Lwów, Niedziela dnia 30. Września 1877 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwártalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Kto poprowadzi nasz lud?

Gubiąc się w kombinacyach politycznych, zapominamy prawie nieustannie, że cała nasza przyszłość, jako narodu, połączona jest z ludem, który jest podstawą prawdziwą siły społecznej. Tylko oparłszy się na nim, zyskamy równowagę stałą. Od stu lat słyszymy tę prawdę — z ust takich mężów, jak Staszica, Kołłątaja, Kościuszki, Kniaziewicza, od stu lat rozwijamy ją teoretycznie; lecz gdy przyjdzie do praktyki, do zastosowania, zaczynamy wynajdować tysiączne szkopuły, zaczynamy się cofać i wreszcie połowicznie wszystko robimy. Moglibyśmy udowodnić to przykładami z dziejów naszych porozbiorowych, przedewszystkiem z dziejów powstań zbrojnych; lecz pocóż mamy sięgać do przeszłości, kiedy chwila obecna smutną przedstawia w tym względzie rzeczywistość.

Pomimo przekonania o potrzebie zbliżenia się do ludu, pomimo — powiadam — tego przekonania, które — jak się zdaje — dostatecznie upowszechniło się w kołach demokratycznych,—na kogoż możemy wskazać, coby się podjął tego prawdziwie patryotycznego zadania? Ma się rozumieć, mówimy tylko o tym obozie, który w zbliżeniu się do ludu prawdziwe jego dobro ma na myśli i szczerze pragnie zupełnego zespolenia sprawy narodowej z ludową. Mówimy tylko o tych osobach, które dążą do wyzwolenia ludu z pod wszelkiej opieki, które chcą, ażeby samowiednie i samodzielnie zajmował się swojemi sprawami, ażeby faktycznie korzystał z pełni praw obywatelskich.

Tymczasem w dwóch dzielnicach polskich, używających prawa konstytucyjnego, a więc mogących otwartą rozwinąć czynność w pracy nad przeszłością narodową, któż właściwie zdąża do osiągnięcia wpływu nad ludem a nawet — trzeba wyznać — w znacznej mierze osiągnął już takowy? Oto, ludzie, co przywykli — rozciągać opiekę nad sumieniami i pragnęliby rozpostrzeć ją także na wszelkie moralne i materyalne interesa społeczeństwa całego; ludzie, którzy chcieliby zawrócić ludzkość ku formom przeszłości a przynajmniej powstrzymać ją w biegu postępowym; ludzie, którzy dążą do opanowania ludu w interesach swojej kasty czyli stanu; którym ma służyć on za narzędzie, nie zaś za cel właściwy. W Poznańskiem klerykalizm, pochwyciwszy w swe ręce ster ludowy, czuje się panem położenia i — jak widzieliśmy przy ostatnich wyborach do parlamentu niemieckiego — z lekceważeniem usuwa z widowni politycznej nawet takich mężów, którzy stateczną i gorliwą pracą zjednali sobie piękne imię w narodzie, lecz ośmielili się stawić czoło ultramontańskim dążnościom. W Galicyi może jeszcze gorzej. Jeżeli dzienniki raz po raz donoszą o nieprzyjaznych objawach ludu ku inteligencyi polskiej a natomiast o dziwnym jakimś pociągu do cara moskiewskiego i jego sług, — czemuż to mamy przypisać, jeżeli nie własnemu niedołęztwu, które pozwoliło świętojurcom zająć w ludzie stanowisko jego prawdziwych przewodników i przyjaciół. Zrobili oni swoje dlatego, że się odważyli na to, na cośmy odważyć się nie mogli. Zbliżyli się do ludu, stanęli w roli jego rzeczników, powołali go do narady wspólnej i tem ujęli go sobie i pokierowali nim gwoli swym interesom.

Powiedziałem, żeśmy z braku odwagi ustąpili z pola przed świętojurcami. Tak było istotnie. Kiedy zaczęto tu i ówdzie dopominać się zwoływania wieców ludowych pomiędzy włościanami, ludzie, przyjmujący na siebie przewodnictwo demokratyczne, zagłuszali tę myśl, podnosząc obawy wzmożenia tam agitacyi świętojurskiej. Kiedy w Stanisławowie podjęto myśl utworzenia kółek włościańskich, znowu widmem świętojurskiem zastraszono umysły. Cieszyła się z tego reakcya, albowiem znalazła środek, którym mogła każdej chwili powstrzymać zapędy demokratyczne.

Zabrakło odwagi demokratom; lecz znalazł się za to w innym obozie człowiek, który pomimo krzyku i wrzasku, pochwycił w swe ręce chorągiew i stanął na czele ludu. Widzimy od dwóch lat, jak czynność jego coraz szersze koła ogarnia. Przewodniczył niedawno pielgrzymce ludu do Rzymu; teraz znowu zwoływa włościan, ażeby pokazać im nagromadzone na wystawie płody i wyroby krajowe, ażeby zapoznać ich z samem miastem i jego zbiorami. Gorliwie więc pełni rolę przewodnika i nauczyciela. Musimy mu to przyznać, lubo bolejemy, że przewodnictwo w inne nie dostało się ręce.

Pozostawimyż chorągiew ludową przeciwnikom naszym? Czyż mamy pomiędzy wyznawcami zasad demokratycznych tylko ludzi, którzy wiele a czasem i pięknie mówić umieją, ale nie są zdolni do czynu? Czyż miłość ojczyzny, którą nieustannie głosimy, nie natchnie nikogo męstwem i odwagą, stanąć wśród ludu i objaśnić go, kto prawdziwym jest jego przyjacielem i zkąd ma oczekiwać lepszej przyszłości? Pozwolimy tu sobie przypomnieć piękne słowa Andrzeja Frycza Modrzewskiego, który za złotych czasów rzeczypospolitej, zapisał taką naukę dla wolnych obywateli: „Ponieważ wszystkie wszystkich ludzi miłości jedna ojczyzna w sobie zamyka, tedyć onę nad wszystko trzeba przekładać i wszystkie prace dla niej mężnie i śmiele podejmować; a to tak dalece, że jeśliby potrzeba rzeczypospolitej ukazywała, nie byłoby z przyganą dobremu a mądremu człowiekowi dobrowolnie się wtrącać do rządzenia i sprawowania jej, a do chętnego podejmowania niebezpieczności dla niej".

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Postrzegł się po czasie pan Repeszko, że padł cale niespodzianie w szpony człowieka, od którego wszyscy jak od ognia uciekali, a stało się to nie wiedzieć jak, i pochwyciło go bezbronnym. Nie miał innego ratunku, tylko, wedle zwyczaju swego w trudnych razach, odmówić „pod Twoję obronę"

i dziewięć „zdrowaś Marya“, z krótką modlitwą do św. Antoniego. W istocie wieści, jakie po okolicy krążyły o kasztelanicu, nie nęciły do jego znajomości. Mało o nim wiedziano, oprócz że z możnej pochodził rodziny, że długo za granicą w Hiszpanii, we Włoszech, we Francyi przebywał, majątek do szczętu utracił i podobno w skutek jakiejś nieszczęśliwej miłości dostał jakby lekkiego pomięszania, a raczej chronicznej rozpaczy, która w najdziwaczniejsze przybierała się formy. Zapamiętały myśliwiec, spędzał dnie zimą i latem na koniu w polach i lasach samotny, a gdy mu się kto ważył sprzeciwić lub wleźć w drogę, mścił się nielitościwie. Chwilami był to człowiek najlepszego towarzystwa i wychowania, grzeczny, wykształcony, dowcipny.... napadami gbur, szyderca, okrutnik. Ludzie, jak go najdalej zobaczyli, kryli się i uciekali przed nim.

Iwo Jaksa Gryf Życki, kasztelanic p......, gdyż tak się zwał, po kądzieli odziedziczył w Lubelskiem dobra Rabsztyńce, niegdyś Firlejowskie; te ojciec jego zadłużył, a on całkowicie stracił. Gdy mu je zatradowano, nie opierał się, ale zapowiedział wierzycielom, że bądź co bądź, w Rabsztyńcach zamek, ogród i obejście dworskie zostawi i tych zabierać nie dopuści.

— Jestto moje gniazdo rodzinne. Zwierzęta nawet mają nory; ja też muszę mieć legowisko i Rabsztyniec nie dam, a zechcecie najeżdżać, będę się bronił i nie oszczędzę nikogo.

Skutkiem tej groźby, został zamek przy panu Jaksie, a dziedzic Rabsztyniec musiał się pobudować na nowo, opodal nieco.

Oprócz sporego kawałka gruntu, ogrodów, stawu, dziedzińca i góry, na której niegdyś stało zamczysko, nie wiele na tem wierzyciele stracili. Właściwie powiedziawszy, zamek nie istniał; został on zburzony przez Szwedów jeszcze za Karola Gustawa. Było muru trochę, jedno skrzydło budowy, rozwalona brama i pusta kaplica... W dole drewniany dom folwarczny.

Nie wiedzieć dlaczego ta ruina, przypominająca feodalne burgi niemieckie, tak była drogą Życkiemu; to pewna, że prócz niego, niktby w niej nie mieszkał. Za jego pobytu na Rabsztynie, pod najsroższą odpowiedzialnością nie wolno było jednej rózgi wyciąć na całej przestrzeni do dworu należącej. Skutkiem tego zarosło wszędzie gąszczami, drzewa się porozpościerały, chwasty, ziele i krzaki, tak że pośród nich ledwie wązkiemi ścieżynkami przedrzeć się było podobna. Na murach nawet, śród budowli, puszczały drzewka, wisiały gałęzie, bujały polne kwiaty.

Przez rozwaloną bramę na wałach, otoczoną lipami, wchodziło się do środka, ale od niej nic widać nie było jeszcze. Ponad wierzchy lip i klonów jedna tylko baszta szczerbata, z powybijanemi dziurami, sterczała wyżej nieco. Ze starego zamczyska Szwed i ogień zostawili tylko jednego skrzydła część niewielką. Była ona znać wzniesioną za ostatnich Jagiellonów, gdy u nas budownictwo na sposób włoski kwitło; to też ozdobne odrzwia, z kamienia i marmurów, posadzki z wielkich tafli i płyt różnobarwnych, rzeźby i napisy dotąd ją okrywały.

Ale to wszystko w najopłakańszym było stanie: dach, niegdyś blachą kryty, później gontami, teraz połatany był słomą, a w znacznej części żebra poczerniałych krokiew i łat z niego wyglądały. Wiele drzwi brakło, inne się nie zamykały.. Do tej wilczej jamy, jak ją nazywano powszechnie, nikt prawie nie zaglądał, kasztelanic żył w niej sam, z Zacharyaszem kulawym, dawnym i wiernym sługą. Na folwarku była gospodyni, dwóch chłopaków do koni i psów, w stajni trzy chude szkapy i dwa wyszarzane siodła.

Charty i brytan tak dobrze strzegły zagajonego dziedzińca, że się w nim i żebrak nawet pokazać nie śmiał. Osobliwością to było zaprawdę, że w chwili dobrego humoru i dzikiej fantazyi zaprosił do siebie Repeszkę; rzecz tak się dziwną p. Nikodemowi zdawała, ze podejrzywał Iwona o jakieś nieczyste zamiary, szczególnie obawiając się o worek. Ale z drugiej strony, co do spraw pieniężnych, wiadomo było całemu światu, że Iwo nigdy nikogo na szeląg nie pokrzywdził i prawdziwie po szlachecku kończył sprawy tego rodzaju, obcierając poły, byle rąk nie zwalać.

W śmiertelnych potach Repeszko dojechał do Rabsztyniec, które pierwszy raz w życiu oglądał; bryczka i konie musiały z chłopakiem pozostać w bramie, gdyż dalej drogi do zajazdu nie było, tylko ścieżka, którą ledwie konny człowiek mógł przejechać.

Zlazłszy z wozu, Jaksa rzucił lice i odprostował się.

— Niechże go pioruny trzasną, jak ta drynda trzęsie, zawołał. Jak wy możecie tem jeździć? Nie wolelibyście na dobrej szkapie, niż w tym półkoszu, w którym zęby sobie powybijać można.

Repeszko postanowiwszy być grzecznym, uśmiechnął się tylko.

— Na co kogo stało! — zawołał — kasztelanicu dobrodzieju. Człeczek jestem ubogi, dorobiłem się w pocie czoła grosika, pamiętam na to, z czego wyszedłem...

— Tak, tak. pulvis sum et in pulverem...

— Otóż to jest... — potaknął Repeszko, nie udaję pana.

— Wolisz nim być w istocie! — rozśmiał się Jaksa smętnie, idąc przodem przed gościem. Ale nie kłam! wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. . Jesteś groszowity, skąpy i liczykrupa. Pal cię licho z tem; co mnie to obchodzi, że się uwędzisz dla spadkobierców, których nie znasz? Rób jak ci lepiej, to do mnie nie należy.

— Zagaduje do worka! to nie bez kozery! — rzekł w duchu Repeszko, w tem już coś jest... ale gdyby nawet i bizunami zagroził.. ha! stań się wola Twoja... że nie dam, to nie dam.

Drżał w duchu nieborak jednakże.

— Trzebaż mi było z tą głupią ciekawością do Mielsztyniec jechać i na karczemkę powracać, włóczyć się nie wiedzieć po co i wpaść w taką matnię.

Szli tymczasem ścieżynką i minąwszy gąszcze, znaleźli się przed ocalonem owem skrzydłem zamkowem, które dziwnie wyglądało, pysznie i odrapano, pańsko i nędznie... Jaksa stanął i świsnął przeraźliwie; nadbiegły brytany i charty, a w chwilę i stary Zacharyasz nadszedł kulejąc. Stali przed głównem wnijściem, nad którego szerokiemi drzwiami herb Firlejów jeszcze był znaczny; gnieździły się w nim wróble. Godzina może była trzecia z południa.

— Zacharyaszu mój — rzekł Jaksa — masz co jeść? bo oto mój gość głodny, a jam go zaprosił i nakarmić muszę, choćby przyszło pieczeń z wierzchowca mojego zrobić. Byłaby łykowata nieco, bo stary.... Spytaj Barbary, co się tam święci... a prędko.

— Jam się już dowiedział — mruknął Zacharyasz, boć wiedziałem, że gość będzie.

— Ha no, i cóż? — spytał Jaksa.

— Idźcie no na górę.. idźcie, mruknął stary sługa, jakoś to będzie, z głodu nie pomrzecie.

— A więc dawać do stołu.

Zacharyasz ramionami ruszył i nic nie odpowiedział; gospodarz wszedł do sieni. Była obszerna, pusta, trochę słomy dla psów w kącie, okna powybijane; wschody z marmurową balustradą, ale połamane i zgniłe, prowadziły na pierwsze piętro. Znowu sień ogromna, ze ścianami, na których deszcz zaciekając pokreślił zielone pasy... Drzwi nie szczelne, ale niegdyś białe i złocone, prowadziły do antykamery, w której stały ławy proste, a raczej zydle; na jednym z nich posłanie Zacharyasza, istny barłóg. Dokoła na grzędach trochę odzieży, rogi myśliwskie, strzelby, sieci, skórki i przybory łowieckie.

Tu gospodarz, idący dotąd przodem, puścił gościa przed sobą. Weszli do pokoju, który być musiał jadalnym, bo w nim zajmował miejsce główne stół stary, ciężki. Koło niego ustawione były krzesła o wysokich poręczach. Na ścianach czarne jakieś portrety i potłuczone zwierciała.

— Nie jest tu bardzo wytwornie — rzekł śmiejąc się Jaksa — ale z biedy żyć można. Drzwi w prawo do mojego pokoju.

Repeszko postępował posłuszny, pocisnął klamkę i znaleźli się w salce obszernej, krągłej, jeszcze nie źle dochowanej.

W jednym kącie, nogami do ogromnego marmurowego komina, który dwie męzkie karyatydy podtrzymywały, stało łoże kasztelanica, pokryte niedźwiedzią skórą. Nad niem broń rozwieszona; w głowach duży obraz, gęstą, czarną krepą osłoniony cały, tak że z za niej ledwie się jakiejś na nim białej twarzy domyślać było można... Zeschła gałąź cyprysu, opylona, siwa, zawieszona była nad tym tajemniczym wizerunkiem.

— Siadaj, mości sąsiedzie. Rzadko tu gość bywa. Prawdę rzekłszy, nie pamiętam czym kogo prosił kiedy; więc i przyjęcie nie wykwintne. . No, ale i waszmość też, jak wiem, nie wymagający jesteś.

— Ale paradnie, paradnie—odrzekł ocierając pot z czoła Repeszko — jak Boga kocham, to pałace.

— Gdy zjemy, to ci całe moje dziedzictwo sprezentuję,— rzekł powoli Jaksa.— Zobaczysz, jestto fundum wcale nie szpetne; możnaby coś zrobić z tego, będąc przy pieniądzach.

— Po co on mi to chce pokazywać? — pytał sam siebie gość — po co? W tem coś jest...

Po chwilce Zacharyasz otworzył drzwi. Weszli do pierwszej izby, gdzie nakryto do stołu.

— Wódkę pijesz? — spytał gospodarz. Repeszko nie wiedział co odpowiedzieć.

— Bo wódkę mam prostą, śmierdzącą kotłówkę, na inną mnie nie stało, więc jeśli łaska...

— Ale nie koniecznie.

— Jedzenie będzie brzydkie, ale nie ma lepszego, wina ci za to dam, jakiego tu nikt nie ma. Ale wino to zawdzięczam przypadkowi. Lat temu kilka — mówił siadając Jaksa — byłem taki słaby, żem myślał, że mnie już licho weźmie. Najechał tu doktor Niemiec, więcem się go chciał poradzić, aby też wiedzieć jak długo pociągnę. Ten mi powiada: jedź waszeć do Bardyowa na Węgry, napij się wody, wykąp, a wyzdrowiejesz. Nie bardzom miał o czem jechać, ale jeszcze tam coś się znalazło na sprzedaż dla żydków. Siadłem na koń i ruszyłem na Węgry, do tego Bardyowa. Poznaliśmy się serdecznie z Węgrami, pobratali, nieraz popili, i oto mi jeden magnat, Paloczaj, przysłał na wyzdrowienie zupełne beczkę tokaju. Jeszcze i para wołów co ją przywiozła, karmiła mnie jakiś czas, bom ją sprzedał. Niech mu tam Bóg nagrodzi. Tego tokaju butelkę wysączymy.

Repeszko nadspodziewanie znalazł się przyjętym. Półmiski i talerze były wprawdzie pootłukane, ale porcelanowe; na wazę dano niezły krupnik, potem bigos i zająca pieczonego. Czegoż więcej żądać? Tokaj w ogromnych kieliszkach, czysty jak złoto, smaczny był jak nektar, pachniał po całym pokoju. Po pierwszym kieliszku Jaksie dziko zaświeciły oczy; nie wesele, ale smutek i boleść dobyło z niego wino. (C. d. n.)

SPRAWA POLSKO-PRUSKA

NA SOBORZE KONSTANCYEŃSKIM.

przez

M. Kanteckiego.

(Ciąg dalszy).

Jakkolwiek nader słuszne powody wstrzymywały Jagiełłę od zbrojnego wystąpienia przeciw Turkom w obronie Węgier, w zebranych w Konstancyi ojcach wzbudziły one jednak wielkie niezadowolenie i nieufność ku Polakom. Od tego czasu niknie widocznie zajęcie, z jakiem sobór z początku oddawał się sprawie spornej między Polską i Zakonem; na wszystkie skargi i wywody, zanoszone przed jego forum, sobór żadnej nie dawa już odpowiedzi. W Hardt'cie czytamy teraz takie tylko lakoniczne wzmianki, jak: „quibus propositis nihil fuit per synodum responsum“, albo: „ad quae nihil fuit determinatum nec conclusum per concilium.“

Wraz z posłami, wiozącymi wspomniany respons Jagiełły [1]) przybyło do Konstancyi około 60 Żmudzinów, [2]) aby dać namacalne świadectwo prawdzie, że Żmudź przyjęła wiarę chrześcijańską, że więc wyprawy doroczne Krzyżaków najmniejszej już teraz nie mają racyi bytu; 9go lutego 1416 r. zaniosą Żmudzini prośbę do soboru, aby święte zgromadzenie wsparło ich usiłowania i wyznaczyło mężów uczonych a pobożnych, którzyby wiarę w kraju zaprowadzoną umocnić, wżdy i w błędach pogaństwa trwających jeszcze sąsiadów nawrócić pomogli. [1]) Kardynał Jan Domenici z Raguzy ofiarował Żmudzinom dobrowolnie swoją pomoc, a sobór ze swej strony przydał mu jeszcze dwóch suffraganów i trzech doktorów. W towarzystwie tych mężów opuścili Żmudzini 1. marca r. 1416 Konstancyę i puścili się w podróż do domu. 17 czerwca t. r. widzimy już kardynała Jana z powrotem w Konstancyi, gdzie zanosi skargę na Krzyżaków z powodu przeszkód, jakie napotykał w podróży swej przez posiadłości Zakonu. [2]) Skarga tak wysokiego dygnitarza nie pozostała bez skutku: sobór rozporządził, iż odtąd Żmudź w sprawach świeckich podlegać ma władzy cesarza, w kościelnych własnym biskupom. [3])

Miesiąc luty 1416 r. nacechowany jest nadzwyczajną ruchliwością obu prawujących się stron. 13 lutego tłumaczą polscy posłowie przez usta nieznanych nam bliżej: Augustyna de Pisis, konsystoryalnego adwokata i Piotra z Krakowa, powody, które skłoniły króla do wojny z Zakonem.

Theodor de Niem (Hardt II. 441) opisuje wystąpienie to w następujących słowach: „et fuerunt multi articuli horrenda continentes ibi recitati contra eosdem Magistrum et fratres.“ Ponieważ adwokat strony przeciwnej, ciągnie dalej tenże sam autor, nie był na odpowiedź przygotowany, przeto na jego prośbę wyznaczono nowy termin dla zbicia poprzednich wywodów. Nastąpiło to dopiero 23. lutego, w którym to dniu Justinus de Juvenaera, adwokat Krzyżaków, uniewinnił postępowanie wielkiego mistrza i całego Zakonu „Wypowiedział on“, mówi o Justynie *Niem* (l. c), „publicznie wiele straszliwych rzeczy, zionących jadem nienawiści przeciwko polskiemu królowi, chcąc przekonać obecnych, że Jagiełło niezliczone Zakonowi wyrządził krzywdy, i prosząc usilnie zgromadzenie, aby się ujęło za słuszną sprawą tych, co jedynie bronili się przed najezdnikami. Powstały z tego wielkie hałasy i krzyki, kończy Niem, poczem zebranie rozeszło się, nie wydawszy decyzyi.“

Następnego dnia, tj. 24 t. m. występowali jeszcze w interesie Zakonu: niejaki „Dominus Ardecinus, advocatus consistorialis“, i Henryk de Piro. Zgromadzenie, jak zwykle, słuchało wywodów mowców w pobożnem milczeniu. [4])

Jednym z powodów, dlaczego sprawa polsko-pruska tak leniwym postępowała krokiem, była bez wątpienia także i nieobecność Zygmunta który już 21 lipca 1415 r. opuścił Konstancyę, aby w drodze osobistego porozumienia się skłonić papieża Benedykta IX do abdykacyi. Z Hiszpanii pospieszył cesarz, zwabiony przyrzeczonym sobie przez francuskiego Karola VI. dziennym żołdem 300tu koron do Paryża, aby przywieść do skutku pokój między Francyą i Anglią. Ponieważ w tymże samym czasie rozejm zawarty pod murami Brodnicy pomiędzy Polską a Zakonem chylił się już ku końcowi, a spór jeszcze wcale nie miał się na ukończeniu, przytem wiadomości, dochodzące cesarza z Węgier, coraz groźniejszą przybierały postać, przeto zawezwał Zygmunt do stolicy Francyi polskich i zakonnych pełnomocników, [1]) i za obopólną zgodą przedłużył dnia 6. kwietnia rozejm aż do 13 lipca 1417 r. Wsie: Nieszawa, Orłów i Murzynów, odstąpione w r. 1343 Zakonowi przez Kazimierza, miał wielki mistrz wydać w ręce margrabiego brandeburskiego, Fryderyka, w którego posiadaniu miejscowości te pozostać miały aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy przez sobór. Donosi o tem zdarzeniu Zygmunt: Jagielle [2]) i wielkiemu mistrzowi [3]) zaraz tegoż samego dnia, w którym rozejm zawarto, tj. 6 kwietnia.

Tak Władysław Jagiełło, jak i Michał Küchmeister zgodzili się nader chętnie na to przedłużenie zawieszenia broni. Snać obie strony nie wygoiły się jeszcze z ran, które im tak zwana „wojna głodowa“ z r. 1414 była zadała. Na wydanie jednakże owych trzech wsi w ręce margrabiego Fryderyka brandeburskiego, nie chciał się wielki mistrz zgodzić żadną miarą, tusząc sobie, że Polska wobec niebezpieczeństwa, grożącego Litwie ze strony Tatarów, nie będzie mogła zbrojnie wystąpić. [4]) Niemniej i przymierze, które Zakon zawarł z trzema szląskimi książętami, Konradem Seniorem, Konradem Kanteneńskim i Białym, wyraźnie przeciwko królowi polskiemu i wielkiemu księciu Litwy, przy czem rzeczeni książęta, mimo biedy, w jakiej się Zakon według relacyi krzyżackich znajdował, otrzymali znaczne sumy sposobem pożyczki, dodawały wielkiemu mistrzowi wielkiej otuchy. [5])

Dodać tu jeszcze należy, że nim się dowiedziano o prolongacyi rozejmu, dokonanej przez Zygmunta, już się rozpoczęły w tejże sprawie rokowania na zjeździe w Gniewkowie, przywiedzionym do skutku przez komtura Gniewskiego 16 maja 1416 r. Z Gniewkowa (miasteczka położone w Kujawach, między Inowrocławiem a Toruniem), udali się posłowie Zakonu do króla polskiego, bawiącego w Inowrocławiu, dokąd nadeszła wiadomość o układach Zygmunta, i gdzie się też zgodzono na przedłużenie rozejmu. [6])

(C. d. n.)

---

[1]) Odpowiedź ta odczytaną została na posiedzeniu z dnia 28 listop. 1415 r.

[2]) Theodor de Niem u Hardta II 442.

[1]) Hardt IV 606.

[2]) ibid IV. 790.

[3]) Prof. Caro twierdzi stanowczo, że wiadomość ta jest mylną, Witołd bowiem nie byłby się w żaden sposób zgodził na poddanie Żmudzi pod zwierzchnictwo Zygmunta. Trzeba jednak zauważyć, że w. ks. litewskiemu chodziło teraz przedewszystkiem o Krzyżaków; — że Zygmunt, mimo orzeczenia soboru, do spraw Żmudzkich mięszać się nie będzie, o tem był Witołd przekonanym aż nadto.

[4]) Hardt l. c. IV. 615.

[1]) Dług. XI. 183 twierdzi, że arcybiskup Mikołaj wyjechał z Konstancyi razem z Zygmuntem; Hardt IV. 1091 mówi o Mikołaju, że był „jussu concilii semper comes itineris“ Zygmunta. Tymczasem wiemy, że jeszcze 13 lut. 1416 r. Mikołaj Trąba wraz z resztą posłów zanosi do soboru skargę na Krzyżaków (Hardt IV 606); poprzednie twierdzenia więc są mylne. Do Paryża musieli przybyć polscy posłowie przed dniem 4go marca, gdyż w tym dniu, podług Hardta: magniconc. const. Fasta (w IV. t. 36 str.) wręczono arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, na wyprawionej przezeń uczcie, paszkwil Falkenberga.

[2]) Gołęb l. c. I,242 uw. 200.

[3]) Raczyński cod. dipl. Lith. str. 198.

[4]) Posilge l. c. 364. Auch was eyn ander sache, worum dy Polen den Frede gern offnomen. Der grose Keyser von Tattern hatte herczoge Withaud entezagit, dorum das her eynen andern Keyser weder yn offgeworffin hatte, wend her mit dem selbin Keyser vor zewen jarin das laut zen Prussin swerlich beschedigit hatte und yn mit ym furte yn syme here.

[5]) Voigt Geschichte Preussens VII. 288.

[6]) Jan Posilge 263 i 364. Dokument Jagiełły i Witołda, zatwierdzający układy Zygmunta we Voigta wydaniu kroniki Jana Posilge str. 402 dod. V. (dokument ten nosi datę 25 maja, in Iuveni Wladislawia feria secunda ante festum dominice Ascensionis) i w Raczyńskiego Kodeksie dypl. Litwy str 202 Cfr. SS. rerum prussicarum III. 364 uw. 3. W dokumencie tym czytamy: „...*promittentes bona fide et sine fraude et dolo, in verbo regio et fideli pollicen-*

*

O UPORZE

POD WZGLĘDEM PSYCHOLOGICZNYM I PEDAGOGICZNYM.

Powszechne jest przekonanie, że nad upor nie masz gorszej przywary. Jakoż codzienne doświadczenie uczy nas, że w stosunkach towarzyskich staje się on nieraz przeszkodą, która utrudnia porozumienie się i zgodę, że w wychowaniu dzieci bywa on zawadą, nad której usunięciem napróżno łamią sobie głowy rodzice i nauczyciele. Na tem to doświadczeniu opierają się owe maksymy, które wygłaszamy zwykle z dogmatyczną pewnością w razie napotkania z czyjejkolwiek bądź strony uporu: „Na upor nie masz lekarstwa“, „Upor potrzeba łamać“. Maksymy te zdają się nam być tem prawdziwszemi, że mają za sobą powagę wieków. Nie są one bowiem naszego wynalazku. Znali je bardzo dobrze nasi przodkowie, jak o tem można się przekonać z dziełka Aleks. Maks. Fredry: „Przysłowia nauk potocznych“. Znajdujemy w niem zdanie następujące: „Na upornego nie masz racyi, tylko: musisz; inaczej nie łam głowy, nie poradzisz“.

Dziwnem może się wydać niejednemu, że na przekor powszechnemu przekonaniu, wbrew naszym przykładom, jakich na jego stwierdzenie dostarcza praktyka, odważam się twierdzić, że obie te maksymy są fałszywe, że upor, jeżeli staje się nieuleczalnym, to dla tego tylko, że najniewłaściwszych używamy nań środków; że do takich środków właśnie należy łamanie uporu. Maksymy te, opierające się na prostem doświadczeniu, grzeszą nieznajomością natury ludzkiej, a szczególnie dziecięcej, wychodzą z najprzewrotniejszego pojęcia o tem, co stanowi istotę uporu.

Dwojakie są zapatrywania się na naturę uporu. Jedni widzą w nim osobną jakąś skłonność, pewne organiczne usposobienie, które dziecię przynosi z sobą na świat, i któremu mimo woli i wiedzy musi ulegać w całem swem życiu; drudzy znów upatrują w nim akt czystej woli, która w nim przeciwstawia siebie wszelkim racyom rozumu, wszelkim natchnieniom uczucia i żądzy. Oba te zapatrywania się zarówno są błędne i nie wytrzymają ściślej krytyki.

Pojęcie uporu, jako wrodzonej skłonności, jest zabytkiem scholastycznego nałogu przyoblekania rozumowych abstrakcyi w formy oddzielnych bytów i uznawania samodzielnych czynników duszy w tem, co jest tylko wypadkową psychicznych czynności; pojmowanie go zaś, jako aktu czystej woli, jest bezpośrednim następstwem spirytualistycznej doktryny, która przyjmuje, że wola ludzka znajduje w sobie samej powody, skłaniające ją do tego lub innego działania.

Przeciwko pierwszemu sposobowi zapatrywania się wystarczy nadmienić, że mniemana skłonność, zwana uporem, nigdy nie występuje sama, że zwykle towarzyszą jej inne czynniki psychiczne, które jej nadają pewien określony charakter, pewien kierunek; uporu, w pojęciu abstrakcyjnem, jako pewnej siły, mogącej działać niezależnie od innych czynników duszy, nie znajdujemy ani w człowieku, ani w zwierzęciu. Upartym można być tylko w czemś, cośmy uprzednio poznali rozumem, z czem skojarzyło się nasze uczucie, co rozbudza w nas pożądanie. Z drugiej strony, najściślejsza analiza nie potrafi wykryć w akcie uporu jakiegoś pierwiastku, któryby można było zaliczyć na rachunek odrębnej skłonności, zwanej uporem.

Nie lepiej ugruntowana jest i druga teorya, pojmująca upor, jako akt wolnej woli w znaczeniu spirytualistycznem. Zostaje ona w sprzeczności nie tylko z doświadczeniem, ale nadto z samą doktryną, której jest logicznem następstwem. Wola ludzka, w każdym akcie, tak małej jak i wielkiej wagi, działa pod wpływem zewnętrznych wrażeń, pod wpływem pobudek, jakie znajduje w rozumie, uczuciu i w chęciach. Wyzwolić się z nich, działać niezależnie od nich nie może. Każdy jej akt ma wyraźny, określony cel. Człowiek, zanim spełni akt woli, musi naprzód chcieć, pragnąć; chcieć zaś czego, znaczy doznać od czegoś wrażeń, coś poznać. Ani wrażeń, ani pojęć, ani uczuć i pragnień wola w człowieku nie stwarza, lecz znajduje je dla siebie gotowe. Stanowią one dla niej naturalne szranki, w których może się obracać. Działanie czystej woli, odbywające się po za obrębem, bądź zewnętrznych wrażeń, bądź wewnętrznych pobudek, byłoby działaniem w próżni, machaniem kijem w powietrzu. Byłoby to działanie bez wiadomego celu, bez określonego kierunku. Wolna wola w znaczeniu bezwzględnem, jakie jej przyznaje spirytualna filozofia, jest fikcyą wyobraźni, jest iluzyą rozumu, który przystępuje do badania z uprzedzeniem, który sądzi o rzeczy ze stanowiska doktryny, powziętej naprzód — a priori. Człowiek wolen jest nie robić tego, czego chce, ale robić może to tylko, co chce. Chcieć zaś tego, czego nie chce, lub nie chcieć tego, czego chce, nie potrafi on, choćby wytężył w tym celu całą siłę swego charakteru. Taka jest natura woli ludzkiej i takie są granice jej wolności. Czy zgadza się z niemi określenie uporu, jak aktu czystej woli, tj. takiej, która zdolna jest działać niezależnie od zewnętrznych wrażeń, od pojęć i uczuć?

Przypuśćmy atoli na chwilę, że wola ludzka istotnie posiada bezwzględną wolność, i że upor jest aktem takiej wolności. Cóż ztąd wynika? Oto, że człowiek, który w każdym innym akcie swej woli działa pod wpływem wrażeń, pojęć i uczuć, jest zawsze niewolnikiem tych wpływów i uzyskuje całą swą swobodę, wyzwala się na jednostkę prawdziwie wolną, a więc doskonałą w znaczeniu moralnem, dopiero w uporze. Upor zatem jest aktem najwyższej doskonałości człowieka. Tymczasem doświadczenie nas uczy, że uporem odznaczają się przedewszystkiem dzieci, głupcy, zarozumiali i ludzie słabej woli.

Tego nie dość. Spirytualna filozofia utrzymuje, że jeden tylko człowiek otrzymał w darze wolną wolę, że zwierzęta nie posiadają jej wcale. Jeżeli upor w człowieku jest aktem czystej woli, to musi nim być i w zwierzętach. Każdemu zaś wiadomo, że uporem odznaczają się zwierzęta, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej osioł i kozieł, o których jest powszechne mniemanie, że są istotami najupartszemi. Prowadzi to nas do logicznego wniosku, że zwierzęta także są istotami wolnemi, co więcej, że taki kozieł i osieł, które uchodzą za typy, są pod tym względem bardziej nawet uprzywilejowane, jak sam człowiek. Czy na ten wniosek zgodzą się spirytualiści? Wątpić potrzeba. A jednak wynika on bezpośrednio z ich założenia.

Dotychczasowe rozumowania dowodnie — zdaje mi się, wykazują, że upor bynajmniej nie jest tem, za co go powszechnie uważają, że nie jest on ani pewnem wrodzonem usposobieniem, ani też aktem woli, działającej pod wpływem pobudek, jakie w samej sobie znajduje. Negatywny ten wszakże rezultat, wskazujący nam tylko, czem upor nie jest, lubo wielkiem jest ułatwieniem dla naszego zadania, zaspokoić nas nie może. Potrzebujemy nadto wiedzieć, czem upor jest? jaka jest jego natura?

Ażebyśmy mogli odpowiedzieć na to pytanie, musimy naprzód porozumieć się, kogo zazwyczaj nazywamy upartym?

Upartym nazywamy tego, co obstaje przy swojem, co upiera się przy raz powziętem zdaniu lub postanowieniu i od nich nie chce odstąpić, chociażby mu dowiedziono, że są błędne i zgubne.

Upor więc, jak z tego określenia można już wnosić, jest aktem woli. Otóż wiadomo, że wola może działać tylko pod pewnymi warunkami, które ją pobudzają do działania i temu działaniu nadają właściwy kierunek i barwę. Jakież to są warunki, pod któremi wola ludzka objawia się, jako upor? Upierać się przy czem, znaczy to samo, co bronić czegoś od robionych mu zarzutów. Upieramy się zwykle przy tem, co uważamy za prawdę, co się skojarzyło z naszemi uczuciami, co zadość czyni naszym namiętnościom, albo też prostym nawyknieniom, przyzwyczajeniu. Pierwszym więc warunkiem objawiania się uporu jest posiadanie pewnych przekonań, doświadczenie pewnych wrażeń i uczuć, panowanie nad nami pewnych namiętności, wdrożenie się do pewnych nawykuień, zwyczajów i obyczajów. Drugim warunkiem jest zaatakowanie tego wszystkiego z czyjejkolwiekbądź strony i pod jakimkolwiekbądź względem.

Człowiek, który upiera się przy tem, co uważa za prawdę, który broni swych przekonań ze szczerością dowodzącą, że chodzi mu nie o zwycięstwo nad przeciwnikiem, ale o prawdę, chociażby robionych jej zarzutów nie mógł odeprzeć, chociażby obrony swej rozumnemi dowodami nie mógł poprzeć, na nazwę upartego nie zasługuje. Nie zapominajmy bowiem, że co głowa, to rozum, że przekonania nie u każdego opierają się na podstawach rozumowych, logicznie ugruntowanych. Za prawdę uznajemy w ogóle to, co się tak ściśle skojarzyło z całym szeregiem naszych pojęć i wyobrażeń, że wyrwane z pośród nich, tworzy lukę, której zapełnić nie umiemy, burzy ład ich i porządek, że się w nich zoryentować nie możemy, podkopuje całość naszego zapatrywania się na rzeczy, do którego przywykliśmy, które, jak dotąd, zaspokajało nasze

tes, treugas et prorogacionem earum hujusmodi in omnibus suis punctis, capitulis, articulis, sentenciis. condicionibus, et clausulis juxta formam a dictis dominis Romanorum etc. et francie etc. Regibus nobis datam, traditam etc. directam vel aliasante Strasberg conceptam et factam tenere, attendere, custodire et servare usquae ad festum beate Margarethe... ita tamen quod treugis et prorogacionibus hujusmodi pendentibus *licebit nobis pronequicoram sacro concilio generali* aut coram prefato Domino Sigismundo Rom. etc. Rge vel alio quocumque judice vel arbitre spirituali vel seculari causas ipsis dominis Mgstro et Ordini per nos motas et adhuc movendas pro injuriis etc. Voigt VII 286 zauważył, że o spornych miejscach w ugodzie tej nigdzie nie ma wzmianki; idący za nim Caro III 457, dodaje, że w. mistrz, opierając się zapewne na tem, nie chciał wydać wsi owych Fryderykowi. Tymczasem, jak się przekonaliśmy z przytoczonego ustępu, — „*poszczególnych warunkach*“ dokument Jagiełły, jak i wielkiego mistrza, (o którym Voigt VII 286 2 uw. powiada, że brzmi tak samo, jak poprzedni) nie traktuje wcale, los opiewa wyraźnie: *promittentes* treugas et eorum hujusmodi prorogationem a dictis dominis factam, *in omnibus suis punctis, capitulis, articulis, sententus, condicionibus et clausulis tenere.*“

uczucia. Przekonanie więc o prawdzie, jak z jednej strony opiera się na rozumie, tak z drugiej zapuszcza swe korzenie w uczucia, i im wyłączniej opiera się ono na tem ostatniem, tem trudniej na razie obalić je, tem obrona jego będzie uporniejszą, wytrwalszą.

Są atoli jednostki, które w upieraniu się przy swojem nie zawsze kierują się pobudkami, jakie im dyktuje przekonanie. Obstają oni przy swojem, bronią swego, mając na widoku nie prawdę, ale jakiś uboczny interes. I tego to rodzaju upieranie się stanowi właściwie upor. Powodów jego potrzeba szukać albo w praktycznych celach, których osiągniecie uważa się za główne zadanie, albo w zarozumiałości, która nie przypuszcza, by ktoś inny mógł lepiej rzecz rozumieć, albo nareszcie w miłości własnej i ambicyi, które wszelkie ustępstwo uważają za dowód słabości tak umysłu, jak woli. We wszystkich tego rodzaju objawach uporu uderza przedewszystkiem brak szczerości i samienności; to też w obronie swojej ucieka się on do wykrętów, sofizmatów, używa podstępnego chwytania za słowa, odwodzenia od rzeczy — gdzie nie może pokonać rozumowaniem, tam ucieka się do dowcipu.

Innego znów rodzaju jest upór, jaki napotykamy w ludziach, zostających pod panowaniem namiętności, znałogowanych do pewnej doktryny lub pewnego trybu postępowania, ulegających nareszcie przesądom, uprzedzeniom. Źródłem uporu nie jest tu już miłość prawdy, ani miłość siebie w jakiejkolwiekbądź formie, ale po prostu przyzwyczajenie, nawyknienie do czegoś. Ten gatunek uporu ma to do siebie, że albo zgoła nie przyjmuje dyskusyi, z dumą odrzucając wszelkie racye i przestrogi, albo z całą małodusznością robi ustępstwa z milczącem zastrzeżeniem, że później na nowo do swego powróci.

Do uporu, pod pewnym przynajmniej względem, potrzeba także zaliczyć nieposłuszeństwo, krnąbrność, przekorę, a następnie zamiłowanie w sprzeczkach.

Ten sumaryczny przegląd różnych form uporu, lubo pod wielu względami niedokładny, przekonywa, że upor nie jest fenomenem pojedyńczym, ale złożonym, jest sprawą psychiczną, na którą składają się liczne duchowe pierwiastki, jest wypadkową kilku występujących na raz do działania sił. W uporze, jak w każdym akcie, lubo ważną gra rolę wola, naturę jego przecież stanowi nie ona, ale pewne uczucie, pewna namiętność lub nałóg, w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, które, stając odpornie przeciwko zewnętrznym okolicznościom, nastawając na ich byt, nadają uporowi właściwą energię, charakter i kierunek. Nie jest upor stałem usposobieniem woli, wypowiadającem się w każdej chwili jej objawu i pod jakiemikolwiekbądź warunkami. Wystąpienie jego i charakter zależnym jest od mnogich okoliczności; od zewnętrznych wrażeń, od temperamentu jednostki, od chwilowego stanu nerwowego systemu, od natury uczucia i namiętności, jakie w danej chwili panują nad człowiekiem. W tej samej osobie w różnych chwilach życia może upor objawiać się odmiennie tak pod względem siły, jak i charakteru. W różnych zaś ludziach przedstawia on nieskończoną rozmaitość form, odcienia, trudne nieraz do ujęcia.

Inaczej upor objawia się w ludziach słabych, lękliwych i podejrzliwych, a inaczej w ludziach energicznych, pewnych siebie i stanowczych w postanowieniach; innej natury jest upór młodości, wrażliwej na wszelkie wpływy, a innej starości, która, kierując się wyłącznie nawyknieniem, odpiera z nieugiętą stanowczością wszystko, co dla niej jest nowem. Upor młodości możnaby porównać z oporem np. ołowiu, jaki ten stawia, gdy się go ściska w prasie; upor zaś starości, z oporem kamienia, który się skruszy, ale kształtu swego nie zmieni.

Zbytecznem byłoby po tem wszystkiem dowodzić, że owe maksymy, które twierdzą, że na upor nie masz lekarstwa, że upor potrzeba łamać, są zgoła fałszywe i zawdzięczają swe pochodzenie temu, że lecząc kogoś z uporu, działano wprost na wolę, zamiast działać na to, co tę wolę skłania, pobudza do uporu — a więc na kierujące nią uczucia, na namiętność, która nad nią panuje. Ażeby nie wywołać uporu w człowieku słabej woli, ażeby napotkany w nim upor pokonać, potrzeba z nim inaczej postępować, jak z człowiekiem, który odznacza się stałym charakterem i umie panować nad sobą. Ktoby, mając do czynienia na raz z dwoma ludźmi wręcz przeciwnego charakteru, np. z podejrzliwym, a więc skrytym, i ze szczerym i otwartym — względem obu nich zachował jednaki tryb postępowania, ten by się wkrótce przekonał, że to, co w jednym z nich napotkało upor, przez drugiego zostało przyjętem bez wahania. Mogłoby się nawet zdarzyć, że upor ten napotkał w człowieku, który dla szczerości i otwartości charakteru, uporem nigdy nie zgrzeszył. Jeżeli bowiem przystępował do niego z całą ostrożnością, jaką zwykł zachowywać względem podejrzliwego i w traktowaniu z nim używał taktyki podstępu — to bardzo łatwo mógł wywołać w nim oburzenie, które go popchnęło do uporu, albo podejrzenie, które nakazało mu trzymać się odpornie.

Maksyma łamania uporu do wręcz przeciwnych zamiarowi prowadzi skutków. Będąc wymierzoną przeciwko woli, a więc przeciwko posiadanej przez człowieka energii żywotnej, musi z konieczności wywołać reakcyą, odpowiednią użytej do jej pokonania sile. Jeżeli siła owa przewyższa energią woli, ta ostatnia chwyci się w potrzebie podstępu, przebiegłości, byle się utrzymać przy swojem. Łamanie uporu nie jest czem innem, jak nastawanie na samodzielność ludzką, obraża ono więc śmiertelnie uczucie osobistej godności.

Tak się rzecz ma z ludźmi dojrzałymi, z istotami, w których charakter do pewnego stopnia jest już ustalony, w których wola wzniosła się do potęgi moralnego czynnika, w których rozwaga, kierowana pojęciem złego i dobrego, panuje nad wszystkiemi sprawami psychicznemi. O ileż gorzej rzecz się dzieje, do jak zgubnych prowadzi następstw zasada łamania uporu, gdy ją zastosowujemy do dzieci! Ażeby to zrozumieć, dość jest zastanowić się nad tem, czem jest dziecię pod względem psychicznym? Czem są w nim wola, myśl i uczucie?

Dziecię w pierwszych latach swego życia jest naturalnym produktem przyrody, wszystko w niem odbywa się instynktowo, zgodnie z warunkami jego organizacyi. W jego czynnościach, we wszystkich jego sprawach psychicznych, nie masz nic sztucznego, obmyślanego. Wola jego nie jest czem innem, jak prostym odruchem, nad którym nie umie panować, które objawia się bezwiednie, jako konieczne następstwo zmysłowych wrażeń lub wspomnienia doznanych uczuć przykrych lub przyjemnych. O rozwadze, o zastanowieniu się mowy tu nawet być nie może. Te bowiem czynności psychiczne mogą się objawić, rozwinąć wtedy dopiero, gdy umysł dziecka, wzbogacony dostateczną liczbą doświadczeń, będzie mógł wznieść się od pojęć konkretnych do abstrakcyjnych, gdy wyrobi w sobie mniej lub więcej dokładne pojęcie o przyczynowym skutku, o moralnem znaczeniu złego i dobrego. Zanim to nastąpi, dziecię poddaje się ślepo wszelkim wrażeniom i uczuciom, które z właściwą jego temperamentowi siłą ogarniają całą jego istotę, nie napotykając w duszy jego nic, coby im się opierało, hamowało. To też każde miłe dziecku wrażenie przybiera w niem rozmiary szczęścia, które je zachwyca, przepełnia roskoszą. Na widok motylka dziecię śmieje się głośno, skacze i w ręce klaszcze; jego barwne skrzydła, jego lot wprawiają je w zachwyt daleko większy, niż jakiego my, ludzie dojrzali, doznajemy na widok arcydzieła natury lub sztuki ludzkiej. Również wrażenie przykre napełnia dziecię tak głębokim smutkiem, że czuje się w nim najnieszczęśliwszem. Na widok przysmaczka, który dziecku odmawiają zalewa się ono gorżkim płaczem i żadnej nie przyjmuje pociechy. Jeżeli zaś czego pragnie, to z całą mocą, z całą nieugiętością, na jaką tylko pozwalają zasoby żywotnej energii jego. Chęć, pożądanie, jest dla niego najwyższem prawem. Nie pojmuje ono, co znaczy: można i nie można. Każdy zakaz, każdą odmowę odczuwa ono, jako gwałt, przemoc, jako tyranię mocniejszego. W takim stanie rzeczy upor dziecka musi w innej objawić się formie, jak w człowieku dojrzałym. Lubo i w nim upor nie przestaje być aktem woli, ale woli, będącej odruchem, działającej na oślep pod wpływem zewnętrznych wrażeń, lub doznanych uczuć. Ponieważ wrażenia i uczucia dziecka są zazwyczaj nie trwałe, przemienne, gdyż nie miały czasu w niem się zakorzenić, ztąd i upor dziecka, pomimo całej gwałtowności, z jaką się objawia w danym razie, jest chwilowym. Upór jego, jest tylko zwyczajnym oporem, jaki każda siła stawia sile drugiej, działającej na nią w kierunku, przeciwnym jej ruchowi. Wynika on z właściwej *inercyi* dziecka, które w swych uczuciach i pragnieniach nie umie się hamować, ale pędzi na oślep w kierunku, w jakim go one popychają. Moc uporu i jego trwałość, będąc naturalnym, bezpośrednim wynikiem organizacyi dziecięcia, może służyć za miarę żywotnej jego energii, będącej nie czem innem, jak materyałem, z którego wola się urabia, czyli samąż wolą w elementarnej swej formie.

Łamać więc upór w dziecku, jest to łamać wolę, która w niem zaledwie kiełkuje, jest to tłumić jego żywotność, na naturalny jego rozwój pod względem psychicznym wkładać żelazne jarzmo, które je zgniecie. Praktyka łamania uporu w dzieciach mogłaby być usprawiedliwioną wśród barbarzyńców, którzy ściskają swym dzieciom głowy, żeby przybrały kształt płaski, ale nie między ludźmi wykształconymi. Inna rzecz przyuczać je powoli do posłuszeństwa. Do tego wszakże nie sztuki łamania uporu potrzeba, ale potrzeba wyrozumiałości, cierpliwości i taktycznego postępowania. Łamanie uporu może nieraz być na rękę rodzicom i nauczycielom, którzy więcej swą wygodę cenią, jak dobro dziecięcia; ale w skutkach swych może najzgubniejsze wydać owoce tak dla dziecka, jak dla rodziców. Ono bowiem zradza w dzieciach lękliwość, brak pewności i stanowczości w postanowieniach, ono zmusza je do skrytości, do podstępów, ono na-

reszcie w dzieciach, z natury energicznych, rozwija krnąbrność. Zamilczam tu o uczuciu niechęci, a nierzadko nawet nienawiści, jakie łamiący upor rozbudza dla siebie w sercu dziecka, niechęci i nienawiści, które pod żadnym względem nie przyczynią się do zrealizowania celów wychowania. *Władysław Kozłowski.*

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA".

(Ciąg dalszy.)

Wśród takich rozmyślań naszego doktora, zjawia się nagle młody koncypient, Tadeusz, ten właśnie, któremu zawdzięczamy niniejszą historyę.

— Pawełku! Pawełku! zrobił się ze mną fatalny skandal — woła, siadając z desperacyą na fotelu i rzucając na podłogę trzymany w ręku bukiet kwiatów.

— Cóż ci się stało? — pyta śmiejąc się doktor. — Czy cię wyrzucili gdzie za drzwi?

— Mówię ci jeszcze gorzej.. sam się wyrzuciłem... jak Boga kocham, sam się wyrzuciłem. Straszne rzeczy, co się w tym Krakowie dzieje... i żyj tu teraz, i pracuj uczciwie... powiadam ci Sodoma i Gomora między temi kobietami.. A żebym ci ja był duchem świętym przewidział... Znasz pannę Emilię?

— Znam, ta blondynka bez krwi, siostra doktorowej, ta, co to jej asystujesz...

— Ja asystuję, ja? Ot widzisz i ty przeciw mnie...

— Mój kochany — rzecze poważnie Pawełek — przecież mam oczy i widzę cię po spacerach, w teatrze, na koncertach...

— To i cóż z tego?... ale to nie nazywa się asystowaniem. Bywam, no bywam...

— I powiadają, że się starasz o nią.

— A niechże mię dyabli wezmą, jeżeli to prawda! — krzyknie zaperzony koncepista.

— Bywasz na kolacyach...

— Co mi za kolacye! — trochę szynki z musztardą, albo gorące kiełbaski i herbata jak woda! Śliczne mi kolacye, lepsze mam u siebie w domu... Ale czekajże, niech ci powiem wszystko: dziś, jak ci wiadomo, imieniny panny Emilii, no — uważasz tego, jakoś wypadało powinszować, jako znajomej, gdzie się bywa... Przychodzę z tym oto bukietem, wszystko bardzo pięknie, ładnie, panna Emilia przyjmuje — oczywiście, powiedziało się jakiś komplement... aż tu, gdym już miał odchodzić, pan doktor łap mię panie za rękę, i ciągnie na cygarko do swego gabinetu. Niezłe ma cygara wysuszone, zapalam tedy i gawędzimy.

— Panie Tadeuszu — pyta mię chytrze — pozwolisz mi pan być otwartym?

— A i owszem — mówię niby spokojnie, choć ciarki przechodzą po plecach, bo czuję, kroi się albo na pożyczkę, albo na podpis wekslu.

— Powiedz mi pan zatem, ale to szczerze, *w jakim celu* bywasz u nas?

Powiadam ci, zgłupiałem! A to mi cię psia k.. zajechał, co?

— I cóż ty? — pyta śmiejąc się serdecznie Pawełek.

— Tak ci się panie zaląkłem, że cygaro wypadło mi z ręki, a do głowy poszło gorąco.. To jest tego, mówię — w żadnym..

— A skoro w żadnym — powiada, puszczając moję rękę i zrywając się na nogi — to proszę pana, racz o nas zapomnieć. Siostry mojej żony nie pozwolę w ten sposób kompromitować..

— Ależ mówię tego.. owszem, bardzo mi przyjemnie — bo widzisz, język mi się formalnie poplątał, a on ci panie gada z irrytacyą:

— Ja mój panie w ten sposób rozumiem częste bywanie, różne grzeczności, bukiety, spacery, jak każdy uczciwy ojciec lub opiekun panienki powinien rozumieć... to jest, że się stara...

— Daję panu słowo honoru, nie myślałem.

— To też proszę, daj pokój swoim grzecznościom, bo pannie może to w głowie zakręcić i ludzie myślą...

— Przyjemne towarzystwo... tego... mówię.

— Zechciej pan gdzieindziej szukać lekarstwa na nudy... są na to resursy.. kawiarnie...

— A jeżeli tak, to i owszem - mówię, rejterując się ku drzwiom z kapeluszem. — Bardzo przepraszam, o! bardzo...

— Nic nie szkodzi, żegnam pana — doganduje, ale taki zły, prowadząc mię do drzwi gabinetu.

Wypadam ci na schody jak z łaźni, aż tu panie słyszę za sobą: „Panie, panie, proszę pana!" — woła pokojówka Franusia, goniąc mię z całej siły.

— Czego chcesz?

— Pan zapomniał bukietu — mówi oddając mi takowy — pani kazała panu powiedzieć...

— Dobrze, dobrze — mówię jakby w gorączce i walę ci panie po trzy schody naraz, i lecę do ciebie, jak widzisz, cały w ogniu.. A to ci panie scena, hę?.. W jakim celu? No, proszę, ta blada bez krwi i bez brwi Emilka... to ci los, ja miałbym się żenić... Pańskości za miliony, a w posagu figa marynowana.. Powaryowali psie... czy co?... Że ten osieł, doktor, dał się złapać jej siostrze, to ja tak samo mam być głupi! Oho! niedoczekanie wasze... od dziś daję sobie najświętsze słowo, że moja noga nie postanie więcej w żadnym domu, gdzie tylko są, albo gdzie były, albo mogą być panny jakie... o! o! nie głupim...

— Dziwna rzecz — odzywa się Paweł z oczami łez pełnemi od śmiechu — żeś ty się tak zalterował...

— Żeś się zalterował... tak... powtarza z przekąsem Tadeusz — dobrze ci się śmiać, a a jakby ciebie tak przyłapali; hę?

— Właśnie, zdarza mi sie coś podobnego, przeczytajno ten list od ciotki, — masz, tylko uważnie czytaj, i powiedz mi, czego ona chce...

— Cóż tu długo dumać — rzecze, kładąc po przeczytaniu list na biórku. — Chcą cię złapać tak samo, jak mnie, dla jakiejś Ludki. Czy znasz tę Ludkę?

— Dalibóg, że nie pamiętam. Któż tam zwraca uwagę na ośmioletnią dziewczynkę... Coś coś przypominam sobie jakąś Ludwinię, czerwoną, pyzatą, z grubemi nogami... jakaś krewna stryjenki, siostra, czy córka po siostrze...

— Że ciebie złapią to złapią — mówi lekceważąco Tadeusz — bo wy medycy w ogóle, niby to pozytywiści, niby ateusze, ale do kobiet nie macie żadnego rozumu.

— Jeszcze do Litwinek...

— Ba, ba, dziękuję uniżenie! — przerywa mu prawnik. — Tem ci gorzej, szukajże tam czego gdzieś na Litwie. Tu ci, panie, i hypotekę mamy na miejscu, no, i można się od żydków dowiedzieć, bo czegóż żydzi nie wiedzą, a nieraz, panie tak ci otumanią głupca.. O nie, nie; anibym się wdał z jakiemiś tam Litwinkami, albo z Warszawiankami... Jeżeliby już miało przyjść do czego, to tylko *bares geld*, panie dobrodzieju, zaraz z rączki do rączki...

— Słuchajże mię, i nie trajkotaj bez sensu — mówi Pawełek, przeglądając list ciotki.

— Bo widzisz nie mogę strawić tego „w jakim celu", ażeby on psia...

— Ciocia pisze, że bardzo ładna i dobra...

— Tak, tak, one wszystkie ładne, dobre, anielskiej łagodności, gospodarne, oszczędne, jak bez posagu. I Emilka bardzo, o! bardzo czułe ma serce: spotka ci obdartego chłopaka, zaraz mu daje centa.. płacze rzewnemi łzami nad żebraczką z dzieckiem na ręku...

— Mój kochany — przerywa mu Pawełek — straszny bo z ciebie materyalista. Nic tylko pieniądz, hypoteka, tylko gotówka. Po co ci u licha ożenienie! Idź gdzie do kasy, czy do banku i okradnij, a będziesz miał posag bez żony...

— Jaki mi poeta, literat — ofuknie z ironią pan Tadeusz. — Dlategoteż siedzisz u żydów w niewoli, i powiadam ci, będziesz siedział do samej śmierci. Myślisz, że ty masz dobre serce, a ja ci powiadam, że to jest niedołęztwo i lenistwo umysłowe...

— Dobrze, dobrze, zostańmy przy swojem; ja przy długach, ty przy Ludwikach, tylko co powiesz o tym projekcie, że chcą tu inkognito przyjść na oględziny.

— Głupstwo! — odpowiada prawnik — facecye! Po co cię mają oglądać? Teraz każda tylko goni za mężem, czy on taki czy owaki... A jeszcze te z Królestwa, to umyślnie przyjeżdżają do Galicyi na polowanie... Ho, ho, mądre to sztuczki... mnie, panie dobrodzieju, nie złapią... No, proszę, i ta blada Emilka myślała... no, proszę.

— A wiesz co? — mówi po chwili namysłu Pawełek — przychodzi mi ochota zrobić im figla... Słuchaj Tadeuszu, przyjdź do mnie jak one tu będą, i udasz, że ty jesteś ja.

— Daj mi pokój! — a jak się przyczepią znowu i zapytają w jakim celu? już dałem sobie słowo...

— Mój kochany, co ci to szkodzi, nie tutejsze... Tadeuszku, zrób to dla mnie, ty jesteś cięty w języku jako adwokat.

— Co do tego, to się nie boję — rzecze, nadymając się Tadeusz.

— Kobiety ci, panie, znam na wylot, i umiem ci z niemi jak trzeba. Nieraz przyjdzie jaka do kancelaryi mojego starego i ma sprawę. A trzeba ci wiedzieć, kobiety targują się gorzej od żydów... ja jednak znam się na tem, chwalę, chwalę bez końca i namówię do wszystkiego... Najciężej, aby tylko zmiarkować, co ona myśli i czego chce, a jak jej trafisz panie, to pojedziesz jak sznelcugiem... Dobrze, trzeba ukarać te Litwinki, daj znać a przyjdę, i choć to one mają być chytromudre, to ja ci panie zażyję ich... i uważasz, wybadam to, co nam potrzeba.. no, no, spuść się na mnie.

Szanowni czytelnicy, po co mam robić z wami ceremonie i opisywać podróż tych pań z Częstochowy do Krakowa, skoro już na początku wygadałem się, że są tutaj. Na co mam zmuszać Pawełka do szukania przyjaciela po kawiarniach, gdy one zjawią się przy Sławkowskiej ulicy, kiedy to i mnie i wam i bohaterom powieści będzie daleko wygodniej, jeżeli właśnie w tej chwili usłyszymy niezwykły hałas na schodach, prowadzących do mieszkania doktora.

— A co tam takiego? — pyta Pawełek, uchylając drzwi do sieni.

— A to ja panie doktorze — odpowiada stróż Jakób, nie mogąc sobie dać rady z wielką miotłą osadzoną na długim kiju.

— Czegóż się tak tłumisz?

— O.. o... o... czego?... Toć ta wysłały mię jakieś grafinie, co zajechały tu przed chałupę i czekają..

— Pocóż cię wysłały?

— Pedzieli, zeby się spytać cy jest dochtor, i cy... jakoś to one gadały, ale zobaczyłem... coś cy on daje... cy bierze... tak jakoś.

— Może, czy przyjmuje...

— To, to, to rychtyg, cy przyjmuje.

— To leć że prędko, i powiedz, że przyjmuje, tylko żywo.

— Duchem, duchem — mówi Jakób, zabierając na powrót swoję miotłę. Bo trzeba wiedzieć, że Jakób dopiero od trzech dni, prosto z Bińczyc, objął urząd stróża w kamienicy, a do tego kupił sobie za duże buty podkówkami okute, i dostał nową miotłę, której przez cały dzień z rąk nie popuszcza.

Jakób nie był przyzwyczajony do chodzenia po schodach, a tembardziej w nowych i za dużych butach, przeprawa więc jego na dół, wśród formalnego rozbijania i siebie i schodów i ścian bocznych, trwała nadzwyczaj długo, tak że nim on doszedł przed bramę, doktor miał czas przechylić się w oknie, i zobaczyć, jak przybyłe grafinie wysiadają z fiakra.

— Wiesz Tadeuszu, to mogą być moje Litwinki — rzecze prędko. — Jak Boga kocham, to one... jedna ma kapelusz z czerwonem piórkiem.. A niechże je, jak pospieszyły.. Pamiętajże, żeś doktor Proszkiewicz.

— A ty co?

— I ja także doktor, ale Tadeusz Rekursowicz...

Nim zdołali nasi znajomi zrobić jaki taki porządek na stołach i biurku, już panie litewskie pokazały się we drzwiach.

— Czy tu mieszka pan doktor Proszkiewicz? — spytała litewskim akcentem starsza, bardzo przystojna, choć nieco za pulchna blondynka, podnosząc woalkę z twarzy.

— Jestem do usług pani dobrodziejki — odzywa się rozkosznie uśmiechnięty i cały w podskokach Tadeusz. — Proszę odpocząć, bardzo proszę, u nas schody tak niewygodne — mówi dalej, zapraszając je do zajęcia miejsca na kanapie. — Poważam się przedstawić paniom kolegę mojego, również lekarza, pan Tadeusz Rekursowicz...

— Ach, jak to szczęśliwie, że zastajemy dwóch naraz panów doktorów — rzecze dźwięcznym głosem ta druga z czerwonem piórkiem. — Możemy mieć formalne konsylium, prawda Joasiu?

— Siostra moja od dwóch lat cierpi gwałtowny ból głowy — mówi owa Joasia — a nasi lekarze nie mogli jej nic skutecznego poradzić.

— Postaramy się, pani dobrodziejko... zapewne to migrena — przerywa słodziutkim tonem Tadeusz. — Może pani dobrodziejka pozwoli usiąść bliżej okna.

— Zdejm kapelusz, Ludko!

Panna Ludwika, podniósłszy gęstą woalkę na czoło, odpięła szpilkę przytrzymującą kapelusz, a zdejmując takowy, podała Tadeuszowi.

— Któż to kapelusz kładzie na stole? pognieciesz pan kwiaty, proszę gdzie zawiesić...

— Dobrze, pani dobrodziejko, natychmiast — mówi usłużny Tadzio, szukając miejsca gdzieby go ulokować.

— Proszę powiesić na lampie... ach, jak ci panowie są niezgrabni... tu, tu, na lampie.

Trochę skonfundowany taką śmiałością, umieścił kapelusz na globusie lampy, podsunął fotel ku oknu, i spojrzawszy na swoję pacyentkę, poprawiającą loczki przed lustrem, formalnie oniemiał.

I było czego! Coś więcej idealnie pięknego, nie zdarzyło mu się widzieć w życiu. Pan Paweł, stojący z powagą przy drzwiach sypialnego pokoju, jeszcze się więcej zagapił, — formalnie wytrzeszczył oczy, otworzył usta, a musiał mieć bardzo pocieszną minę, skoro panna Ludwika nie mogła powstrzymać uśmiechu, spojrzawszy w jego stronę. (C. d. n.)

BOHDAN ZALESKI

wobec dziejów liryki polskiej.

Studyum A. G. Bema.

(Ciąg dalszy)

Zacznijmy nasz przegląd od utworów najniższej potęgi, przez które wieszcze żniwo Bohdana wiąże się bezpośrednio z pracą przeszłych wieków. Zaliczamy do nich takie drobne, w różnych czasach pisane, a najmniej cechujące muzę Bohdanową płody, jak większa część wierszowanych modlitw i hymnów, „Nieszczęśliwa rodzina,“ „Wzgórek pożegnania,“ „Westchnienie za rodzinną chatą,“ „Wspomnienie,“ „Śpiew Tarły,“ „Fiołek“ itp.

W „Fiołku“ i rytm i język i myśl przypominają rażąco wiersz „Do konika polnego“ Kazimierza z Królówki. Obaj poeci — jeden z kwiatkiem, drugi z konikiem polnym, niespodzianie się spotykają, obaj między sobą a opiewanym przedmiotem jednakie widzą podobieństwo, obaj nakoniec w sielankowym zachwycie po za światem ludzkim powierników tęsknoty znajdują. Przytoczymy dla porównania po kilka zwrotek z obu utworów:

DO KONIKA POLNEGO.

(Brodziński)

Zkąd-że to, wiejski śpiewaku,
Pod mem oknem twoje głosy,
Jakże cię, miły żebraku
Aż tu zapędziły losy?

. . . .

I mnie dzisiaj miasto więzi,
Com lubił wiejskie zacisze,
Zawieszoną na gałęzi
Wiatr moję fletnią kołysze.

Więc gościnę w równym stanie
Przyjm, żebraku w oknie mojem,
Z kwiatów ci zrobię posłanie,
Czystym uroszę cię zdrojem.

Siądziesz czasem na mej lutni;
Tu — samotni, w wolnej chwili,
Oba tęskni, oba smutni,
Po wiejsku będziem nucili.

FIOŁEK.

(Zaleski)

Czuję cię, czuję po woni,
Miękkiej pieszczochu murawy!
Darmo — gdziekolwiek w ustroni
Wzrok cię mój najdzie ciekawy.

Gdzieżeś, o kwiatku kochany?
Otóż wygląda — jak miły!...
Jak ja samotny, nieznany,
Tuli się w cieniu mogiły.

. . . .

O! dam ci milszy przytułek,
Namiot rozepnę z tych drzewek;
Tu cię pijący łzy ziółek
Psotny nie znajdzie powiewek.

Na tej jedwabnej ziół tkance,
Siądę przy tobie, gdzie w dali,
I o naturze, kochance,
Będziemy sobie dumali.

Mimowoli, gdy zestawiamy te strofy, nastręczają się uwadze wypowiedziane o Zaleskim przed laty słowa p. Tyszyńskiego: „W tworze kształtów autor tak dalece jest niezawisłym tj. poetycznym, iż rodzaje poezyi, które nam daje, nie są nawet podobne z nazwiska do znanych dotąd. Wprawdzie w zbiorze jego poezyi znajdujemy niekiedy nazwiska znane powieści historycznych, ballad itp., lecz utwory te są takiemi tylko z napisów.“ Prawda, że Zaleski jest oryginalnym poetą; oryginalność ta jego jednak nie uderza nas w najniższej kategoryi utworach. Często bowiem mimo nagłówka „dumki,“ utwór nosi znamiona pospolitości artystycznej, a niejedna z ballad przypomina cały szereg swojskich i cudzoziemskich, podobnie zatytułowanych innego pióra utworów. Weźmy za przykład pokrewną nieco w treści „Liliom“ Mickiewicza *dumkę* „Ukaranie“ („Nie chodź, mój Archory, na cudze wieczory...“) Jest to wprawdzie rzecz nawskróś ludowa, z kopalnianego skarbca poezyi wydobyta, ale duchem poety jeszcze nie ogrzana, jeszcze na zupełną jego nie przetopiona własność. Coś podobnego powiedziećby można o „Nieszczęśliwej rodzinie“ i dość niefortunnem jej przerobieniu „Wzgórku pożegnania*).“ Pierwsze zdaniem naszem jest rudą, drugie—lśniącą blaszką; pierwsze jest wiernie skopiowanym utworem ludu, drugie gładką zdolnego wierszopisa ramotą. Taką też jest słaba treścią, blada formą *duma* z pieśni ukraińskiej „Ludmiła,“ przywodząca na pamięć „Ucieczkę,“ piękną balladę Adamową. Ballad Zaleskiego również nie należy uważać za coś nadzwyczajnego, a z innemi nie dającego się porównać. Najpiękniejsza ballada „Lubor“ przypomina między innemi i treścią i trochaiczno-amfibrachicznym rytmem i zgłoskową miarą wiersza „Świteziankę“ Mickiewicza. Brodziński i Mickiewicz są w utworach tej kategoryi wzorami poety. Z tych prób nie poznałbyś jeszcze jednego z książąt polskiej liry.

„Śpiew poety“ najlepiej podobno określa rodzaj i cel właściwej, iście kwiatowej twórczości naszego wieszcza:

Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę,

*) P. Ad. Kuliczkowski („Zarys dziejów lit. pol.“ Lwów, 1872), porównywając dwie te o spólnej treści dumki, powiada: „Gdy (Zaleski) spotężniał i rozwinął siłę, ujął jeszcze raz wątek pierwszej pieśni (Nieszczęśliwej rodziny) i stworzył z niej prześliczny „Wzgórek pożegnania.“ Zestawmy z tem zdaniem odmienny nieco pogląd p. Tyszyńskiego (Rozb. i kryt. tom III, str. 235): „...rodzaj stylu rodzajowi przedmiotu winienby odpowiadać. W liczbie dumek znajdujemy np. dwie jeden przedmiot mające: „Nieszczęśliwa rodzina“ i „Wzgórek pożegnania,“ a odróżnione tylko stylem; tekst tych dumek jest w pieśni ludu, a dumka pierwsza właściwszą nam dała całość, bo tokiem swym bliższa tekstu.“

Piękność, miłość, czucie, wiarę,
Na ogniwo spajam złote.
„*Łza na krótko oko ciemi:*
Częściej płoną w nim roskosze:
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.
„Myśl mej pieśni nie przekwita,
Jako *niebo, serce, wiosna,*
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza, i miłosna.

Duch wieszcza wielbi bez końca *piękno* natury, płonie *miłością* dla swej Ukrainy, *wierzy* w Boga i przed jego wielkością się korzy; *serce* śpiewacze, rzadko głębiej zaniepokojone, oddycha balsamiczną wonią *wiosny* i przegląda się w lazurowem *nieba* zwierciadle. Zresztą niepodobieństwem jest wyrazić mową prozaiczną tę myśl powiewną, ptaszęcą i zarazem anielską, która się nie rozwija, a igra swawolnie pośród dziewiczego błonia, rostapiając niepochwytną treść swoję w przeczystym cudownych słów eterze. Jeszcze większem byłoby niepodobieństwem ten subtelnie utkany twór ducha poddać pod skalpel zwykłej analizy. Czytając „Śpiew poety“ i inne celniejsze płody Bohdanowej muzy, czuje się jakąś niewysłowioną przyjemność, zgoła taką, jakiej słuchając mazurków Szopena doznajemy. Gdyby jednakże ktoś nas zapytał, *dla czego* wieszcz ukraiński tak błogi wpływ na nas wywiera, moglibyśmy tylko wskazać na jakieś ogólnie odczute, kryniczne tętno życia, na tajemniczą harmonię poprostu wiążących się ze sobą słów, ale wyjaśnić to na zimno, w sposób dokładny i szczegółowy, byłoby rzeczą prawie niemożliwą. Chwyta nas czarodziej ten za serce, ale przez co, na Boga? Czy, że boleje lub weseli się z narodem, z ludzkością? Nie. Czy westchnieniami kochanka o struny lutni Petrarkowej trąca? Nie. Więc może wniebowstępnym hymnem do tronu Jehowy sięga? I to nie: on poprostu gra tylko cudownie na swym teorbanie... Mimowolnie użyliśmy wyrażenia Maurycego Mochnackiego, który powiedział kiedyś, że „nikt tak jak Bohdan nie *zagra* na jego instrumencie,“ że wszystko, co poeta ten z ducha swego wysnuł, jest podobne do „strumieni płomienistych,“ jest czemś „nakształt zasłony rusałek z rubinowych iskr jutrzenki.“ (C. d. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW

Karola Brzozowskiego.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

(Ciąg dalszy.)

— Po drabinie? — Muł nie przyklęka jak wielbłąd — jakże się więc dostać do skrzyni? a co to przy tem za kłopot! trzeba żeby ktoś uwiesił się u drugiej klatki i utrzymywał równowagę, gdy do swojej po drabinie się sadowisz; — a to nie wszystko jeszcze! o huśtawce, o wstrząśnieniach zapomina się, gdy przyjdzie się ujrzyć na krawędzi wąziutkiej dróżki, ciągnącej się wzdłuż strasznego urwiska, zwłaszcza gdy wypadnie, że skrzynia, w której siedzisz, jest właśnie po jego stronie, i wisi na powietrzu nad przepaścią, zkąd do strwożonego ucha grzmią śmiertelnym hukiem z głazów na głazy przewalające się wody szalonego potoku. O panie Sydnej, kto we mcharze przejechał Dżebel Kzaad, kto w niej z małą dzieciną, na wpół umarłą z trwogi, przebył Szak-el-Adżius i całą krwawą drogę do Dżissyru i tylko się modlić nauczył, nie posiwiawszy od przelęknienia — ten może się pochlubić, że nerwy ma zdrowe. Najmniejsze potknięcie się muła – a zdajesz się już spadać w otchłań; straciłam zaufanie do cudownych Najświętszych panien francuskich i z rozpaczą przyzywałam święte Polskie — Najśw. Panno Ostrobramska! Panno Częstochowska sauvez moi! Czas przy tem był straszny, wiatr, deszcz drobny, ale ciągły, zimno; nie raz chciałam iść na piechotę, ale na każdym kroku lgnę łam w błoto lub ślizgałam się jak po lodzie — z rozpaczą powracałam do mchary i zamknąwszy oczy, głośno się modliłam. — Drugiego dnia podróży tej, której nigdy nie zapomnę, byłam już na pół martwą, zlodowaciałą od trwogi, ku wieczorowi przytuliwszy dziecinę do siebie usnęłam; nagle skrzynka zatrzeszczała, strasznie wstrząśnięta; zdawało mi się, że z podruzgotanej, wypadam głową na dół. — Święta Matko Ostrobramska! krzyknęłam okropnie, oburącz chwytając moją Marynię. Światło oblało mnie zewsząd — cud! Byliśmy w podwórzu hanu, gdzie wjechałam śpiąca—muł zawadził skrzynią o bramę i na wpół ją rozbił. Całą noc w ciężkich snach przepędziłam, zrywając się co chwila z wykrzykiem: Panno Najświętsza! — Nazajutrz zostaliśmy się w hanie dla wypoczynku — zdjąwszy chustkę z głowy, spojrzałam w odłamek zwierciadła przylepiony na ścianie — nogi za chwiały się podemną... posiwiałam! Posiwiałam jak gołąbek!! ledwie miałam siłę rzeknąć: mężu patrz... głowa moja!... i zsunęłam się na materac rozesłany na rogóżce.

— Jak to, pani posiwiałaś, zdumiony zapytał p. Sydnej — a tenże włos, wszakże to twój własny? wszakże nie farbowany?... To być nie może! — jakkolwiek wysokie mam o pani zdanie, nie przypuszczę nigdy abyś tajemnicę, której nikt nie podejrzywa, miała ni ztąd, ni z owąd tak zdradzać — tajemnicę jeszcze tego rodzaju— i zaiste, gdyby tak być miało, to przyznam się, z gruntu przewróciłaby się we mnie cała znajomość serca niewieściego, którą zdobyła sobie od wieków druga połowa ludzkości — płeć brzydka.

— Mój aniołku! rzekłem wówczas z uśmiechem, całując w czoło biedną, ciężko zmartwioną moją żonę, — widziałem to już wczoraj, wysadzając cię ze skrzyni, ale po cóż ci miałem o tem mówić, co i tak sama za nadto wcześnie spostrzeżesz. Dziecko jesteś zaprawdę — czy kolor włosa wart jest twojej łzy — i jakież w tem wielkie nieszczęście z resztą — czy dla tego, że włos twój zbielał, dla mnie mniej drogą się staniesz? Jeśli tak myślisz biedny mój aniołku, to mi straszną wyrządzasz krzywdę — co do mnie, ja widzę, że włos biały ślicznie ci do twarzy — wyglądasz jak upudrowana królowa!... — Proszę nie żartuj sobie ze mnie—to strasznie, to strasznie! — A ja ci mówię, biały mój gołąbku, że wyglądasz jak upudrowana królowa! Przypatrz się sama... nie wierz temu kawałkowi zwierciadła z poprzerywanym amalgamatem, przylepionemu w cieniu, masz oto moje — przejrzyj się i pocałuj twojego męża... — Co to jest? z niedowierzaniem zawołała moja pani — to... to... mąka! — Nie, mój aniołku, to arowrot twojej Marynki, który przy uderzeniu skrzyni o bramę wysypał ci się na głowę...

— „I nie-poczciwcze.“...—oczekiwałem rozwiązania tej sceny wspólnem uśmianiem się i jeszcze jednym pocałunkiem. Oto masz kochany Sydneju wiernie opowiedziany jeden epizod z podróży do Mezopotamii, pod tytułem przepaść Szak Adżius i siwizna mej żony ze strachu.

— A niepoczciwiec! więc on z góry tę pomyłkę pani obliczył?“

— I żebyś pan wiedział, jak on mnie cały ranek nie opuszczał, jak każde poruszenie moje śledził, — myślałam, że mu tak o moje zdrowie chodzi — przysięgałam mu, żeby go uspokoić, że mam się zupełnie dobrze, że mało już czuję zmęczenia, udawałam wesołą, a on schowawszy do kieszeni swoje składane zwierciadełko, czyhał zdradliwie na chwilę, kiedy przejrzę się w owem podrapanem i na pół w cieniu obaczę w włosach moich ten przeklęty arowrot... Śmiałam się z nim razem do rozpuku, ale w duszy długo nie mogłam mu przebaczyć, że mnie tak złapał, — co tem bardziej mnie dręczyło, że byłam pewna, że tę przygodę moją rozpowie w felietonie jakiego dziennika. Przyjemna rzecz, przyznaj sam panie Sydnej, gdybym kiedyś pojechała do Polski, myśląc, że patrzą na mnie i szepcą sobie: to jest ta pani, pod którą złamały się nogi, gdy się niespodzianie ujrzała siwą. Nie daruję mu tego nigdy — to żart niewinny, zgoda; ale czy zastanowił się nad tem, że mogłam na widok tej nagłej siwizny na prawdę osiwieć!... Szczęściem z Dżyssyru do Alepu droga jest lepsza, nie ma nigdy rzeczywistego niebezpieczeństwa, to też zmniejszym już strachem dojechałam w mcharze do Alepu, a tam niechcąc moich włosów na prawdę narażać, sprawił mi niepoczciwiec ten wspaniały, szkarłatnym suknem uwity tahturwan, o czterech oknach z zielonemi firankami. Wiesz pan teraz, jak się lękam mchary, jak drżę na samo jej wspomnienie, — przez litość brońcie mojego tahturwana, bo według tego, co słyszę od kapitana, rzeczywiście grozi mu niebezpieczeństwo.

Zagwizdał parowiec, zwolnił biegu i stanął. Jak to? Hadżi czy tu mamy brać drzewo, zapytał kapitan. Tu effendim!

— Pani! źle z twoim tachtyrwanem, — odezwał się Sydnej — nietylko nigdzie drzewa, ale nawet żywego ducha nigdzie nie widać; ślad jest tylko jakiejś w glinie kryjówki, pokrytej trawą— i dwie czy trzy szczapy leżą na ziemi zasypanej liściem i korą zdaje mi się tamaryszkową.“— Hadżi! a co teraz — zawołał zakłopotany kapitan? — „Nie rozumiem, co się stało, sam przed trzema tygodniami ułożyłem drzewo i zdałem je muhtarowi — patrz, oto w glinie dół strażnika; muhtar mieszka ztąd o pół godzinki, gdzie widać za pagórkiem tę palmę — daj effendim ze dwóch żołnierzy, pójdę dowiedzieć się gdzie się podziało drzewo.“ — Ha! cóż mam robić! idź... weź czausza i dwóch ludzi — kupcie kilka kur i lebenu...*) Wynajdź jakiego konia, i daj znać prędko o drzewie... ruszać! A wy tam mechanicy, palacze! zgasić ogień; a ty poruczniku każ się znieść z fotelem, jeżeli z niego wstać nie możesz. Popatrzyć mi, żeby ogień zgaszono — wydawałeś drzewo — marnowałeś je i nie dałeś znać, że się skończyło... zapiszę do żurnala, muszę, choćbym nie chciał... „Wydawałem... bo zawsze wydaję, a twoja rzecz patrzyć, na to jesteś kapitanem, odrzekł murzyn i pokazał w szyderskim uśmiechu dwa szeregi jak śnieg białych zębów rażąco odbijających od szkarłatu dziąseł i węglowych warg — coś było panterzego w tym uśmiechu.

Kapitan obejrzał się w koło, i podchwycił

---

*) Leben—kwaśne mleko.

oko któregoś z frenków zawieszone na sobie, zrozumiał, że szyderstwo murzyna nie uszło uwagi i zarumienił się — wzruszył ramionami, westchnął głęboko i spojrzawszy w niebo, rzekł półgłosem... *ne japaim*! co mam robić! Odbił się za to na podpalaczach, którzy nie dość prędko ogień gasili, szedł do machiny, aby ich zgromić, a głównie zdaje się, aby powiedzieć porucznikowi: nie widzisz, że węgle marnują — idź spać synku — obejdę się bez ciebie... Peki! odrzekł murzyn przeciągając się niby zaspany i otwierając cały arsenał ostrych białych zębów i wyszedł z tryumfem na pokład, pomruknąwszy: zobaczymy, zobaczymy baranku, kto pójdzie spać.

(C. d. n.)

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XX.

Pokutnik.

Nazwisko to w samej rzeczy, nie obcem było staremu obermanowi.

Tak się nazywał ostatni „pokutnik“ komory Dochart.

Dawnemi czasy, przed wynalezieniem jeszcze lampy bezpieczeństwa, Szymon Ford znał tego na wpół dzikiego człowieka, co z narażeniem własnego życia, codziennie prawie wywoływał częściowe wybuchy gazu. Widywał on dziwną tę istotę, włóczącą się po kopalni, zawsze w towarzystwie olbrzymiego puhacza, który dopomagał Silfaxowi w niebezpiecznem jego zajęciu, unosząc zapaloną pochodnię do wysokości, do jakiej nie mogła sięgnąć ręka pokutnika. Pewnego dnia Silfax znikł z kopalni bez śladu, a jednocześnie z nim i maleńka sierota, jego wnuczka. Dzieckiem tem, widocznie, musiała być Nelly. Przez lat piętnaście zatem musieli przebywać oboje w jakiejś tajemniczej przepaści, aż do dnia, w którym Nelly ocaloną została przez Henryka.

Stary oberman, przejęty zarazem litością i gniewem, powtórzył synowi swemu i inżynierowi, wszystkie te szczegóły, jakie nazwisko Silfax przywiodło mu na pamięć.

Całe położenie zostało obecnie wyjaśnionem. Silfax był ową tajemniczą istotą, napróżno śledzoną w przepaściach nowej Aberfoyle.

— Znałeś go więc osobiście, Szymonie? — zapytał inżynier.

— Któżby nie znał — odpowiedział Szymon — człowieka z puhaczem! Nie był on już wtenczas młodym; przynajmniej o piętnaście lub dwadzieścia lat musiał być starszym odemnie. Był to pewien rodzaj dziwaka, nie wdającego się z nikim, a mówiono o nim, że się nie lęka ani wody ani ognia. Z upodobania wybrał sobie zawód pokutnika, do którego już wówczas nie wielu bywało ochotników. Niebezpieczne zajęcie, pomieszało mu zmysły do reszty. Mówiono o nim, że jest zły, a był może tylko szalonym. Siłę miał nadzwyczajną. Kopalnię znał lepiej od wszystkich, przynajmniej tak dobrze, jak ja sam. Utrzymywano, że jest dosyć zamożnym — ale, co do mnie, pewny byłem, że już oddawna nie żyje!

— Ale co mają znaczyć te jego słowa: „Skradłeś mi ostatnią żyłę węgla z mojej starej kopalni?“

— Trzeba panu wiedzieć, że Silfax, który, jak wspominałem, zawsze był słaby na umyśle, oddawna już wyobrażał sobie, że kopalnia Aberfoyle jest jego własnością. W miarę też wyczerpywania komory Dochart — jego komory! — stawał się coraz dzikszym i bardziej niedostępnym. Zdawało mu się, że za każdem uderzeniem motyki, wydzierają mu resztę wnętrzności z własnego jego ciała! — Musisz to sobie przypominać, moja żono?

— O! pamiętam doskonale! — odrzekła Madge.

— Wszystko to przyszło mi na pamięć, skoro ujrzałem nazwisko Silfax wypisane na drzwiach naszych; ale raz jeszcze powtarzam, że byłem pewny, że on już oddawna nie żyje, i ani przez myśl mi nie przeszło, aby ową istotą niegodziwą, której od trzech lat szukamy, miał być ostatni pokutnik komory Dochart!

— Rzeczywiście, teraz się wszystko wyjaśnia — rzekł inżynier. — Silfax musiał przypadkiem odkryć nowe pokłady. W szalonym swym egoizmie zrobił się ich obrońcą. Mieszkając w kopalni i przebiegając ją dniem i nocą, poznał twoją tajemnicę i dowiedział się, że wzywasz mnie, abym natychmiast przybył do komory Dochart. To wywołało zaprzeczający list jego; następnie, po mojem przybyciu, rzucił kamieniem na Henryka; dalej, zniszczył drabiny w szybie Yarow! zalepił wapnem szpary w ścianie oddzielającej nową kopalnię od starej; za tem poszło wreszcie zamknięcie nasze, z którego uwolnieni zostaliśmy dzięki dobremu sercu Nelly, a bezwątpienia bez wiedzy Silfaxa i wbrew jego woli.

— Opowiadasz pan rzeczy, jak bezwątpienia musiały mieć miejsce — dodał Szymon. — Ze wszystkiego jednak wnoszę, że stary pokutnik zwaryował do reszty!

— Tem lepiej zauważyła Madge.

— Nie wiem tego, czy lepiej — odparł inżynier — bo szaleństwo jego musi być straszliwe! Ah! pojmuję teraz, że Nelly nie mogła o nim pomyśleć bez trwogi, i mam ją za wytłumaczoną, że nie chciała oskarżać swojego dziadka! Jakież smutne musiało być jej życie obok tego starca!

— Bardzo smutne — rzekł Szymon — pomiędzy szalonym człowiekiem i nie mniej dzikszym od niego puhaczem. Bo domyślam się, że i ptak ten żyje jeszcze. On to zagasił naszą lampę, on usiłował przeciąć linę, na której zawieszeni byli Nelly i Henryk.

— Teraz i ja już rozumiem — rzekła Madge — dlaczego zamierzane małżeństwo jego wnuczki z naszym synem rozbudziło w nim na nowo nienawiść i podwoiło jego szaleństwo.

— I nie byłoby w tem nic dziwnego, moja żono — bo jakżeż nie ma go przyprowadzać do wściekłości myśl, że wnuczka jego wychodzi za mąż za syna tego, który ukradł mu ostatnie pokłady węgla w Aberfoyle!

— A jednak musi oswoić się z tą myślą! — zawołał Henryk. — Jakkolwiek obcem mu jest życie rodzinne, zdołamy go przecież przekonać, że obecnie położenie Nelly odpowiedniejszem jest dla niej, aniżeli przebywanie w lochach podziemnych. — I pewny jestem, panie inżynierze, że, abyśmy go tylko dostali w nasze ręce, nie trudno byłoby wytłomaczyć mu..

— Wątpię bardzo — odparł inżynier — bo trudno przemawiać do rozumu, waryatowi — Co do nas wszystkich wreszcie, lepiej jest niezawodnie wiedzieć z kim się ma do czynienia, aniżeli walczyć z ukrytym wrogiem — ale to jeszcze nie dosyć. Należy nam moi przyjaciele, mieć się ciągle na ostrożności, a przedewszystkiem trzeba wybadać Helenę. Konieczność tego wymaga! Ona sama zrozumie, że dziś milczenie jej nie dałoby się już niczem usprawiedliwić. We własnym interesie dziadka swojego powinna by powiedzieć wszystko, co wie o nim, gdyż tak samo jemu, jak i nam wiele na tem zależy, abyśmy zdradzieckie jego zamysły mogli w niwecz obrócić.

— Ani na chwilę nie wątpię, panie inżynierze, mówił dalej Henryk — że Nelly własnem natchnieniem wiedziona, udzieli nam sama potrzebnych wyjaśnień. Wiemy już teraz, jak ważne pobudki skłaniały ją do milczenia. Też same pobudki nakazują jej zwierzyć się obecnie przed nami. Matka dobrze uczyniła, odprowadzając ją do jej pokoju, gdyż biedną dziecię, po tak gwałtownem wzruszeniu, potrzebowało kilku chwil spoczynku — ale teraz pójdę po nią...

— Nie potrzeba, Henryku! — dał się słyszeć po za nim spokojny i pewny głos Heleny, wchodzącej właśnie w tej chwili do głównej sali folwarku.

Wszyscy się obejrzeli. Nelly była blada, oczy miała zapłakane; ale cała postać jej zdradzała silne postanowienie.

— Nelly! — zawołał Henryk, rzucając się ku niej.

— Henryku, — rzekła spokojnie, wstrzymując go poruszeniem ręki — i ty i rodzice twoi, musicie się dzisiaj o wszystkiem dowiedzieć. I dla pana, panie inżynierze, nie powinno być nic tajemnicą, cokolwiek dotyczy biednej sieroty, którą przygarnęliście do siebie, nie znając jej, a którą Henryk wydobył z przepaści, na własną może zgubę.

— Nelly! — zawołał Henryk.

— Pozwól mówić Helenie! — rzekł James Starr, nakazując mu wzrokiem milczenie.

— Jestem wnuczką starego Silfaxa — mówiła dalej młoda dziewczyna. — Nie znałam nigdy matki aż do dnia, w którym wstąpiłam do tego domu — dodała, spoglądając na Madge.

— Błogosławiony to był dzień, moje dziecię! — rzekła poczciwa Szkotka.

— Ojcowskie przywiązanie znalazłam dopiero w sercu Szymona — ciągnęła swoje opowiadanie Nelly — a uczucie przyjaźni odgadłam wtedy, gdy ręka Henryka po raz pierwszy dłoń moją dotknęła! Przez lat piętnaście żyłam sama jedna z moim dziadkiem, w najgłębszych pieczarach kopalni. Ale źle się wyrażam, mówiąc że z nim żyłam, gdyż zaledwie dojrzeć go mogłam. Skoro znikł ze starej kopalni, przeniósł się do tych przepaści, które jemu jednemu tylko były znane. Wówczas był dobrym dla mnie, na swój sposób, jakkolwiek strach wzbudzał we mnie. Żywił mnie tem, co przynosił z zewnątrz kopalni; ale o ile sobie przypomnieć mogę, początkową karmicielką moją była koza, po stracie której, przez długi czas byłam niepocieszoną. Dziadek widząc mój smutek, dał mi w miejsce jej innego towarzysza, psa podobno, jak mówił. Na nieszczęście, pies ten był za bardzo wesoły, szczekał. Dziadek mój nie lubił wesołości; najmniejszy hałas oburzał go. Psa nie mógł nauczyć milczenia, tak jak mnie wyuczył. Biedne zwierzę znikło też prawie natychmiast. — Nieodstępnym towarzyszem Silfaxa był dziki ptak, puhacz olbrzymi, który z po-

czątku przestrach we mnie wzbudzał; ale puhacz ten, pomimo wstrętu jakim mnie przejmował, tak się przywiązał do mnie, że i ja musiałam go polubić. Doszło do tego, że chętniej mnie słuchał, aniżeli swojego pana, tak, że lękałam się nieraz, aby i tego przychylnego mi stworzenia nie utracić. Dziadek bowiem był zawsze bardzo zazdrośny. Puhacz i ja ukrywaliśmy się przed nim w najtajniejszych lochach; tak nam było przyjemnie razem! a oboje czuliśmy, że trzeba nam się ukrywać... Ale za wiele mówię o sobie!... kiedy miałam o was mówić..

— Nie, moje dziecię — rzekł inżynier. — Opowiadaj wszystko po kolei.

— Dziadek mój — mówiło dalej dziewczę — zawsze niechętnem okiem spoglądał na wasze sąsiedztwo w kopalni. Miejsca jednakże nie brakowało. Ale on nie mógł znieść waszej obecności i wybierał sobie siedlisko w najodleglejszych punktach. Kiedy zapytałam go o ludzi mieszkających po nad nami, chmurzył się, nie odpowiadał mi wcale i przez długi czas milczał jakby zaniemówił. Ale największy gniew ogarnął go, kiedy spostrzegł, że wy, nie poprzestając na dawnych obszarach, chcecie wedrzeć się w jego dziedziny. Przysięgał, że jeżeli uda się wam dotrzeć aż do nowych pokładów, jemu samemu tylko znanych, wówczas zginiecie! Pomimo wieku swego, jest nadzwyczaj silny, groźby więc jego przejmowały mnie strachem o was i o niego.

— Mów dalej, Nelly — rzekł Szymon, widząc że zatrzymała się, jakby dla odświeżenia swych wspomnień.

— Podczas pierwszej waszej wycieczki — ciągnęła dalej po chwilowej przerwie — gdy dziadek spostrzegł, żeście się zagłębili w chodnikach Nowej Aberfoyle, zamurował otwór i zamknął was jakby w więzieniu. Nie znałam was wcale; czasami tylko widywałam was z daleka, jakby przesuwające się cienie wśród kopalni, nie mogłam jednak znieść tego, aby niewinni ludzie umrzeć mieli z głodu w tych przepaściach i narażając się na schwytanie na gorącym uczynku, dostarczałam wam, o ile mogłam, cokolwiek chleba i wody. Chętnie byłabym was uprowadziła na wolność, ale niepodobna mi było omylić czujności dziadka. Mieliście już umrzeć!... Przybył Jakób Ryan i towarzyszący mu ludzie... Bóg dozwolił, że spotkałam ich i zdołałam doprowadzić do waszego więzienia. Za powrotem dziadek mnie spotkał. Gniew jego w owej chwili był straszliwy! Zdawało mi się, że mnie zabije! Odtąd życie moje stało się niepodobnem do zniesienia. Dziadek stracił zmysły zupełnie; nazwał się królem ognia i ciemności! Ile razy usłyszał odgłos waszych motyk i kilofów, przy wydobywaniu węgla, wpadał w wściekłość i bił mnie bez miłosierdzia. Chciałam uciekać. Niepodobieństwo, tak mnie pilnował. Nakoniec, przed kilku miesiącami, w napadzie gwałtownego szaleństwa, wepchnął mnie do przepaści, w której znalezioną zostałam przez Henryka, i oddalił się, naprożno przywołując do siebie puhacza, który nie chciał mnie opuścić. Jak długo tam zostawałam? nie wiem. To tylko wiem, że już czułam się umierającą, kiedy ty, Henryku, przybyłeś, aby mnie ocalić! — Ale, sam przekonywasz się, że wnuczka starego Silfaxa nie może być żoną Henryka Ford, bo tu idzie o twoje życie, o życie was wszystkich!

— Nelly! — zawołał Henryk.

— Nie, nie! — odparła dziewczyna. — Ofiara moja musi być spełnioną do reszty!.. Jeden jest tylko środek ocalenia was od zguby: a tym jest powrót mój do dziadka. Zagraża on bezpieczeństwu całej kopalni!... Nie umie przebaczać... a Bóg jeden wie tylko, do jakich strasznych czynów natchnąć go może żądza zemsty!... Wiem, co mi pozostaje uczynić!... Byłabym najnędniejszą w świecie istotą, gdybym mogła się wahać. Bywajcie zdrowi! i dzięki wam!... Daliście mi zakosztować szczęścia na tym świecie!... Cokolwiek bądź nastąpi, pamiętajcie, że serce moje na zawsze przy was pozostanie!...

Na te słowa, Szymon, Madge i Henryk, przejęci niewymowną boleścią, powstali wszyscy razem.

— Jakto, Nelly! — zawołali głosem rozpaczy — chciałażbyś nas porzucić?!

Tu podniósł się inżynier i zbliżywszy się do Heleny, wziął ją za obie ręce.

— Dobrze, moje dziecię — rzekł do niej. — Powiedziałaś, coś powinna była powiedzieć; ale posłuchaj teraz, co my ci odpowiemy. Nie pozwolimy ci się oddalić, a jeżeli zajdzie tego potrzeba zatrzymamy cię przemocą. Uważasz więc nas za tak nikczemnych tchórzów, że zdolni bylibyśmy przyjąć twoją szlachetną ofiarę? Powiadasz, że groźby Silfaxa są niebezpieczne, — dobrze, niechaj i tak będzie. Ale, z tem wszystkiem, człowiek jest tylko człowiekiem, a my możemy się mieć na baczności. Możebyś jednak mogła, w interesie samego Silfaxa, objaśnić nas, gdzie się on ukrywa? Nie wyrządzimy mu żadnej krzywdy; idzie nam tylko o to, aby odebrać mu możność szkodzenia nam, a może być, że powiedzie się nam przywrócić go do zdrowych zmysłów.

— Wymagasz pan odemnie niepodobnych rzeczy — odpowiedziała Nelly. — Dziadek mój jest wszędzie i nigdzie. Nigdy nie znałam jego kryjówek, nigdy nie widziałam go śpiącego. Skoro znalazł jakie odpowiednie schronienie, zostawiał mnie samę i znikał. — Byłam przygotowaną na to, co mi pan powiedziałeś, panie Starr; ale wierzaj mi pan, jeden jest tylko sposób rozbrojenia mojego dziadka: trzeba, żebym powróciła do niego. On sam jest niewidzialny, ale widzi wszystko. Zapytajcie się, jakim sposobem odgadł najtajniejsze wasze mysli, zacząwszy od listu pisanego do pana Starr, a skończywszy na zamierzonem małżeństwie mojem z Henrykiem. O ile sądzić mogę w tym względzie, dziadek mój, pomimo obłędu swego, silny ma umysł. Dawnymi czasy, zdarzało się, że opowiadał mi piękne rzeczy. Nauczał mnie o istnieniu Boga, o stworzeniu, i w jednym tylko punkcie w błąd mnie wprowadził, gdy twierdził, że wszyscy ludzie są niegodziwi, gdy chciał wpoić w me serce nienawiść ku całemu rodzajowi ludzkiemu. Gdy Henryk przyniósł mnie tutaj, sądziliście, że brak mi wykształcenia tylko: było gorzej jeszcze: lękałam się was. Ach! przebaczcie mi! ale przez kilka dni wyobrażałam sobie, że jestem w mocy złych istot i chciałam uciekać od was! Ty dopiero, matko, naprowadziłaś umysł mój na prawdziwą drogę, nie słowem, ale wzorowem życiem swem, miłością i szacunkiem, jakiemi przejęci są dla ciebie mąż twój i syn... Później, kiedym ujrzała tych górników, uczciwych, i szczęśliwych, uwielbiających pana Starr, którego posądzałam poprzednio, że jest ich panem a oni jego niewolnikami, kiedy po raz pierwszy ujrzałam całą ludność Coal-City, modlącą się na kolanach w kaplicy, i dziękującą Bogu za wszystkie nieocenione dobrodziejstwa, wtenczas dopiero, pomyślałam sobie „Mój dziadek zwodził mnie“. — Ale dziś, dzięki odebranemu w naszym domu wykształceniu, nabrałam przekonania, że i on sam był w błędzie!.. Powrócę więc na drogi, na których towarzyszyłam mu niegdyś. Musi on śledzić za mną... Będę go przywoływać... usłyszy mnie, i kto wie, czy połączywszy się z nim, nie uda mi się nawrócić go na drogę rozsądku.

Pozwolili jej mówić, nie przerywając wcale, wszyscy bowiem czuli, że serce jej potrzebuje wywnętrzyć się przed przyjaciołmi w chwili, gdy w szlachetnem swem poświęceniu, mniemała, iż pozwolą jej oddalić się na zawsze. Ale kiedy zmęczona, z oczami pełnemi łez, zamilkła, Henryk zwracając się do płaczącej Madge, rzekł:

— Cóżbyś pomyślała, matko moja, o człowieku, któryby opuścił szlachetną dziewczynę, w podobny sposób przemawiającą do nas?

— Pomyślałam by — odpowiedziała Madge — że to człowiek nikczemny, a gdyby był moim synem wyparłabym go się, przeklęłabym go!

— Nelly, czy słyszysz co mówi nasza matka? — Gdziekolwiek się udasz, ja pójdę za tobą. Jeżeli koniecznie zechcesz oddalić się — oddalimy się razem!

— Henryku! Henryku! — zawołała Nelly.

Ale wzruszenie było zbyt silne. Zbladły jej lica i padła bez przytomności w obliczu Madge, która poprosiła inżyniera, męża i syna, aby pozostawili je same (Dok. nast.)

Eskimosi w Grenlandyi.

(*Dokończenie*).

Czary kapłanów — angakoków — zasługiwały na większe uznanie, były dobroczynniejszej natury. Doktor Rink przypisuje kapłanom pewną znajomość praw natury, która im pozwalała przepowiadać pewne zjawiska i tym sposobem utrzymywać wpływ na umysły ludu. Kapłaństwo nie było dziedzictwem pewnych rodzin, ale demokratyczną miało organizacyę. Dochodziło się do niego postem, modlitwą, nauką. Sam Tornasuk pojawiał się nowicyuszowi w kontemplacyach i jeżeli przyjmował jego prośby, to mu dawał anioła-stróża, tornaka. Tornak przybywał na wezwanie otoczony aureolą płomienia. Często dusza młodego angakoka wymykała się z ciała, wstępowała do nieba i potem powracała na ziemię. Nie można zaprzeczyć, że te metafizyczne wierzenia mają prostotę i szlachetność, dziwny kontrast stanowiące z pojęciami, jakieśmy sobie wyrobili byli o stanie moralnym Eskimosów. Radzono się kapłanów we wszystkich sprawach publicznych, a najważniejszą z nich zwykle bywał wybór czasu, sprzyjającego polowaniu i rybołowstwu. Kapłani pocieszali umierających, opiewali radości przyszłego życia i przy odgłosie bębna wysyłali dusze do nieba. Bęben był instrumentem świętym; u ludów turańskich wszędzie on ściśle łączy się z kultem religijnym. Jeszcze dziś używają go Eskimosi; a nie ma lat trzydziestu, jak podług angielskiego podróżnika Rae Lapończycy szwedzcy w niedzielę tańcowali dokoła kościoła przy odgłosie bębna, podczas gdy ich pastor luterski odprawiał w kościele nabożeństwo.

Trudna do wymówienia nazwa *angerdlartugsiak* oznaczała u Eskimosów tych uprzywilejowanych, którzy mieli odrodzić się po śmierci. Nie był to przywilej rodu lub kasty, ale przywilej wychowania. Matka takich ludzi powinna była ścisły post zachowywać; oni sami powinni byli być przyzwyczajeni do znoszenia wszelkiego rodzaju złych wyziewów i pilnie baczyć na to, aby nigdy

nic złego psu nie wyrządzić. Ojciec, wyprowadzając ich po raz pierwszy na rybołostwo i sadząc do łodzi, odmawiał nad ich głowami pewne modlitwy, poczem mógł być pewnym, że nie utoną.

Brak nam miejsca na analizę powiastek, przytaczanych przez doktora Rinka. Wszystkie nacechowane są mętnym spirytualizmem, bardzo zbliżonym do indyjskiego panteizmu, ale większa ich część posiada bardzo przyzwoity sens moralny. Niektóre mają za cel stawić tryumf ducha nad siłą brutalną; inne wyrażają i budzą wstręt ku kannibalizmowi; inne wreszcie nauczają obowiązku gościnności i miłosierdzia względem słabych. Ale są i takie, które uświęcają zemstę, co mówiąc nawiasem, nie zdaje się zgadzać z charakterem dzisiejszych Eskimosów.

Najwyraźniej z religijnych legend grenlandzkich, przytoczonych przez doktora Rinka, wydobywa się ten fakt, że mieszkańcy Grenlandyi od niepamiętnych czasów byli gorliwymi spirytualistami. Wierzyli w nieśmiertelność duszy i w jej przechodzenie z jednego ciała w drugie. Wierzyli także, że ta dusza zwyczajnie jest wolną od więzów ciała i że po śmierci otrzymuje nagrodę lub wieczną karę. Tylko raj i piekło umieszczali nie tak, jak wszystkie inne ludy, ale w odwrotnym kierunku; mianowicie raj na dole, a piekło nad głowami, co się tłumaczy naturą klimatu. Dobrzy, czyli *arsissut*, ciepło ulokowani byli w środku ziemi, gdzie panowała obfitość mięsa foki i tranu, źli wiecznie marzli na wysokościach empireju.

Wszystkie te legendy podczas przybycia do Grenlandyi misyonarzy chrześciańskich w r. 1730 miały siłę religijnych tradycyi, i nie ma zatem jeszcze półtora wieku, jak stanowiły urzędową religię Eskimosów. Dzisiaj żyją jeszcze w ich pamięci, ale jako bajeczne powieści; być może jednak, że u ludności bardziej oddalonej od duńskich kolonii zachowały one jeszcze znaczenie pojęć religijnych.

IV.

Obraz nakreślony przez nas stosuje się po części do Eskimosów wieku przeszłego, po części do tegowiecznych. Ale między tymi ostatnimi istnieją już dziś odcienia cywilizacyi wskutek ścierania się z Duńczykami i wpływem chrześciańskim. Przyrodzona łagodność Eskimosów bardzo się rozwinęła pod względem praw chrześciańskich; doktor Rink nie może się nachwalić powolności i prawości podwładnych sobie Eskimosów. Mało zresztą zmian zaszło w ich obyczajach zewnętrznych. Zawsze taki sam namiot ze skór cieląt morskich na lato, na zimę drewniany dom, składający się z jednej izby, która ma w około pokład z desek, a do której prowadzi wydrążony w ziemi kurytarz. Ubiór, żywność, obyczaje rodzinne i towarzyskie są te same, co dawniej. Nie ma już tylko zgromadzeń ludodowych dla wymierzania sprawiedliwości, już się nie śpiewa *nith-song*, sędzia bowiem duński ma obowiązek karać rzadkie wykroczenia. Dawniej zdarzały się niekiedy wypadki poligamii, dziś znikły zupełnie, a poczciwi Grenlandczycy odrzucili swoje dziwaczne nazwy, aby się przyoblec w imiona biblijne, jak przystało na dobrych luteranów, i są dziś między nimi Jakóby i Elizeusze, Hanny i Ruthy. Stosunki z wyższą rasą dały im pojęcie o handlu i kazały zasmakować w pewnym zbytku. Zabrali się do sprzedawania i kupowania; sprzedają futra, tran wielorybi, skóry niedźwiedzie, puch edredonu; kupują broń, wstążki, piece (najwyższy zbytek!) i ktoby uwierzył? — skrzypce! Dzieło pana Rink ozdobione jest rycinami, które nie są najmniejszym jej powabem, szczególnie kiedy się wie, że są dziełem Eskimosów, przez autora wyćwiczonych w sztuce rysowania. Jedna z tych rycin przedstawia wnętrze domu, należącego do bardzo bogatej rodziny krajowców. Budowa tego domu taka, jak i u najuboższych. Jest tam pokład z desek z przedziałkami, a w środku izby dyle podtrzymujące dach; ale na ścianach widać zegar holenderski, skrzypce i obrazy religijne. darowane, lub sprzedane przez Eskimosów. Ojciec rodziny siedzi sobie z nogami podgiętemi na drewnianym pokładzie i pali fajkę, jako bogacz próżnujący; matka zajmuje się dzieckiem; syn starszy trzyma otwartą książkę; córki szyją odzienie i buty ze skóry foki, a jedna z nich przygotowuje herbatę. Herbata! oto do czego doszedł zbytek w bogatej rodzinie Eskimosów! Doktor Rink jednak uprzedza, że rodzina ta stanowi wyjątek między wszystkiemi. Czajniki, filiżanki, talerze i garnki, kawałek zwierzyny na ziemi i resztki foki w misie dopełniają tego obrazu zamożności.

V.

W pośród tych to Grenlandczyków, już dotkniętych cywilizacyą, przepędziła bezimienna autorka większą część swego życia. Nie zagłębiała się ona w ich wspomnienia, jak doktor Rink, ale poznała ich takimi, jakimi są dzisiaj na wybrzeżu zwiedzanem przez Europejczyków, i umiała do ich serc przeniknąć. „Wobec cudzoziemców, powiada ona, są oni jeszcze bojaźliwi i zawstydzeni, ale ze mną nie byli wcale takimi“.

— „Jest to tak dobra i kochana pani, mawiali, że nie mamy potrzeby kryć się przed nią i wstydzić się jej“. Dzięki ufności, którą sobie pozyskała, mogła autorka wniknąć w tajniki domowego życia Eskimosów i obrazki swoje malować z natury.

Naprzód dwór jej składał się wyłącznie ze sług miejscowych. Kolonia Godthaab, w której mieszkała, była zaludnioną Grenlandczykami. Sługi te, zaprawdę, są już nawpół tylko Grenlandczykami, gdyż od kilku pokoleń służą Europejczykom; ale w charakterze, powiada autorka, znać ich pochodzenie: jest to uosobiona łagodność i cierpliwość. Prócz tych ludzi domowych, którzy się wychowali wśród obyczajów europejskich, jest w koloniach duńskich pewna liczba Eskimosów obcych, którzy pełnią ciężkie posługi, jak odmiatanie śniegu, utrzymywanie dróg publicznych, sprowadzanie drzewa opałowego i t. p. Oni to wiosłują na łodziach i są woźnicami na saniach. Podobnie jak w krajach zaludnionych murzynami, tak samo tutaj Europejczycy nie wychodzą z roli panów i władzców: jest to konieczność. Ludzie biali, przybyli ze sfery umiarkowanej, zginęliby prędko pod wpływem niezmiernego upału lub zimna, gdyby nie mogli się wyręczać rasą, która się znajduje w swoim żywiole.

Scena, mówiąc teatralnym językiem, przedstawia ogród. Widzimy bezimienną damę, siedzącą z haftem w ręku przed małą cieplarnią, w której rosną kwiaty właściwe Europie. Naturalnie, że to jest lato, pora bardzo krótka, z której korzysta się z pospiechem, albowiem po niej następuje dziewięć miesięcy zimy. Ogród ten składa się z zielonej łąki; w jednym kącie kapusta i marchew rosną na wyścigi; wegetacya bowiem jest bardzo szybką w krajach podbiegunowych, jak gdyby wiedziała, że dni jej są policzone. Miejsce, o którem mówimy, otoczone jest balustradą drewnianą, malowaną na czerwono, kolor ulubiony w Islandyi i przez Skandynawów wprowadzony do kraju Eskimosów. Mąż autorki, sąsiedzi, a szczególnie sąsiadki, siedzą przy niej. Rozmawiają i spierają się o sprawy Godthaab'u, jak gdyby to były najważniejsze sprawy europejskie. Dzieci bawią się na łące ze swymi małymi przyjaciółmi i przyjaciółkami grenlandzkimi. Podobnie jak w krajach, gdzie są murzyni, wybitna różnica ras nie przeszkadza poufałości.

Ale na kościółku braci moarwskich wybija godzina modlitwy wieczornej. Przez sztachety widać pobożne dusze grenlandzkie spieszące na nabożeństwo. „Mamo, czy mama nam pozwoli pójść do kościoła z Arnakiem i Kistanem?“ „Naturalnie, moje dzieci“. Dzieci opuszczają ogródek i małe towarzystwo duńskie rozprasza się, jak gdyby jego dusza wraz z niemi uleciała.

Drugi obrazek dość podobny do pierwszego. Tylko tutaj towarzystwo siedzi za miastem, na zielonem wzgórzu, za którem widać falujące kształty innych wzgórz, nie mniej zielonych; w Grenlandyi bowiem latem wszystko jest koloru szmaragdowego. Morze obarczone jeszcze bryłami lodu, które nigdy zupełnie nie tają, wrzyna się w tę zieloność posępnym szafirem wód swoich. Nagle okrzyk wstrząsa powietrzem: *Umiar suit!* woła dwadzieścia głosów naraz, *okręt! okręt!* Za przylądkiem Kangak ukazuje się czarny punkcik. Może to statek pocztowy z Europy! Dwaj Eskimosi, przydzieleni do służby pocztowej, odwiązują swój kayak od brzegu, i puszczają się ku okrętowi skróś płynące lodowe góry. Dopływają! wracają! i uszczęśliwieni tem, że sprawią radość Europejczykom, podnoszą wiosła w górę, dając znać, że przywożą depesze.

Potrzeba żyć daleko od swego kraju, ażeby wiedzieć, jakie wrażenie może wywrzeć na wygnańców, przybycie pocztowego statku. A cóż dopiero na ludzi, których zima przez dziewięć miesięcy trzyma w oblężeniu! Cóż dopiero dla Duńczyków rzuconych na brzegi Grenlandyi!

Nazajutrz statek, który już oddał, co miał najdroższego w torbie z listami, wchodzi do fiordu i zbliża się do brzegu dla złożenia innych swoich bogactw. Wówczas to, powiada pani bezimienna, można widzieć zacną i naiwną naturę Grenlandczyka w najwyższem ożywieniu. Niezrównaną przyjemność sprawia im widok rozładowywania okrętu, a co za radość, jeżeli mogą zanieść swemu państwu jakąś pakę dla nich przeznaczoną! Słudzy, którzy się cieszą z tego, co może sprawić przyjemność ich panom, — czyż to nie dowód szczęśliwego charakteru i prawdziwej dobroci.

Lato kończy się; już początek jesieni; trzeba spiesznie korzystać z ostatnich dni pięknych. Kolonia duńska robi wycieczki na wieś; na wieś, to znaczy na zielone łąki, po stokach wzgórz spływające, w Grenlandyi bowiem jest się ciągle wśród zieleni i wzgórzów.

„Wyjeżdżamy pewnego pięknego poranku jesiennego, ażeby przez parę tygodni zamieszkać pod namiotem. Na łodzi naszej wiosłują Grenlandczycy i młode dziewczęta grenlandzkie, które umieją to wybornie czynić; ruchowi wioseł towarzyszy ich śpiew harmonijny. Bardzo nam żal, gdy śpiew umilknie za przybyciem na środek Kangerdlarsuku, małego fiordu, który mamy do przebycia; tu bowiem sternik każe spuszczać żagle, a dziewczęta, czekając uważnie rozkazu, przestają śpiewać“.

*

Sądząc z tego, co mówi pani duńska, zdaje się, że Eskimosi namiętnie lubią muzykę, i to nie tylko bęben i piszczałkę, jak ich bracia Lapończycy, i jak w ogóle ludy pochodzenia turańskiego, ale muzykę wokalną i melodye europejskie. Gdzie tylko mogli słyszeć Europejczyków śpiewających, tam sami stawali się zawołanymi śpiewakami. Przez całe lato słychać ich głosy na wybrzeżach Ta uwaga zgadza się z rycinami doktora Rinka, na których widzimy skrzypce, jako pierwszą rzecz zbytku u bogatych Eskimosów. Podobne zamiłowanie u mieszkańców lodowych krain nie może nie budzić podziwienia.

„Mieliśmy zamiar, mówi dalej autorka, puścić się nieco w głąb kraju i zdejmować fotograficzne widoki. Miałam z sobą męża, córkę Małgorzatę, którą Grenlandczycy nazywają Magida, kilka służących krajowców i ekwipaż naszej łodzi, który miał iść za nami w naszych pieszych wycieczkach. Ale przedewszystkiem potrzeba było znaleść miejsce odpowiednie do wzniesienia naszego powietrznego domu, to jest do rozbicia namiotu. *Tassane!* Tutaj, tutaj! — zawołałam, znalazłszy kobierzec mchu, na którym kwitły krzaki i rosły pochylone wierzby i brzozy. Podczas gdyśmy meblowali namiot workami, z których robiliśmy siedzenia, i pakami, które miały nam służyć zamiast stołów, Magida ze swemi małemi przyjaciółkami grenlandzkiemi pobiegła zbierać jagody na wzgórku, te jagody, które smakują tak wybornie, ponieważ to jedyny owoc, który dojrzewa w tym kraju. Drugi namiot, rozbity obok naszego, miał być mieszkaniem dla naszej służby. Tam nasz kucharz Elizeusz będzie nam przyrządzał jedzenie; tam cały nasz orszak rozmieści się podług swego upodobania, a do nas z tego ludnego mieszkania dochodzić będą śpiewy i spokojne rozmowy“.

„Wychodziłam często z mego mieszkania, aby odwiedzać namioty miejscowych *Eskimosów*. Wchodziłam jak stara znajoma, gdyż wychowałam się w tym kraju. *Taunangak, itornangilak*, powiadali, co znaczy: *To tak dobra kobieta, że nie potrzebujemy na nią zwracać uwagi; nie będzie się z nas śmiała,* — te dwa bowiem złożone słowa mają tak rozwinięte znaczenie. Przyjmowano mnie więc w namiotach Eskimosów, jak w domu dawnych znajomych i nikt nie przerywał swego zajęcia“.

Opowiadająca zastawała kobiety siedzące na ziemi z wyciągniętemi nogami (w namiotach nie ma już drewnianego pokładu, jak w domach zimowych); naprawiały one obuwie, co jest ważną sprawą u Grendlanczyków, łatały podarte ubranie ze skóry cielęcia morskiego, lub ze skóry ptaków wodnych, a ugarnirowane piórami. Za niemi rozciągnięte na ziemi futro służyło im za posłanie. Z boku przy sobie miała każda małą szkatułkę zawierającą przedmioty do użytku osobistego, narzędzia do szycia, grzebienie i wstążki. Wstążki grają dziś ważną rolę w życiu grenlandzkiem. Wszystkie kobiety używają ich do przewiązywania swoich czarnych włosów. Dziewczęta na wydaniu noszą czerwone wstążki; kobiety zamężne — błękitne, wdowy — czarne i białe. Oto panna młoda z ostatniej niedzieli, Maryanna, jak wysoko podnosi głowę, aby pokazać błękitny węzeł we włosach i jak gorliwie naprawia ubiór swego męża, chcąc sobie nadać powagi. Mężczyźni rościągnęli się wygodnie na mchu, lub siedzą z nogami wyciągniętemi i ciałem naprzód pochylonem i wesoło opowiadają przygody myśliwskie i rybołowskie; wybuchają śmiechy; dobry humor panuje; willegiatura bowiem jest niejako uroczystością dla Eskimosów. Ale lud zdolny bawić się tym sposobem, nie jest ludem ani ograniczonym, ani grubiańskim, i „choć ma słabą zdolność pojmowania, oburzam się, powiada autorka, gdy słyszę, jak go nazywają dzikim“.

„Co się tyczy samego kraju, mówi dalej autorka duńska, to prawda, że drzewa są rzadkie i wegetacya zboża niemożliwa. Prawda, że ziemia jest najjałowszą na świecie. Ale ten bezmiar samotnych niezbadanych przestrzeni, te góry dalekie uwieńczone lodowcami, ten miły kobierzec zieloności, która zmienia cień od wzgórza do wzgórza, aż póki nie graniczy z błękitnawem tłem nieba, i cisza, przedewszystkiem cisza, która panuje na tej rozległej scenie, to wszystko ma swoją uroczystą wielkość.“

Po rozbiciu namiotów, kiedy przyjazd gości stał się wiadomym krajowcy przynieśli im dużo zwierzyny; szczególnie liczne są latem przelotne ptaki. Było także na łąkach kilka kóz, których mleko ofiarowano gościom. Koza, przywieziona przez Duńczyków do Grenlandyi, żyje tam z trudnością, to też nabiał jest wielkim zbytkiem. Ażeby ugościć Eskimosów w namiocie, zagrano im jakąś aryę i pozwolono im samym grać na niej. Nic bardziej nie mogło ich zachwycić, a przez ten czas Elizeusz, Lars, Akaluk, Anekasik i Zuzia, siedzieli na ziemi z nogami wyciągniętemi, pochyleni naprzód, i trzymając ręce na głowie słuchali muzyki z rozkoszą. Wieczorem, kiedy rodzina duńska odchodziła do swego namiotu na spoczynek, wszyscy słudzy nadbiegali w gorącym pośpiechu. *Peroordlugo!* mówili państwu, i wnet spuszczano firanki. *Sinit dluarise;* — dobranoc, dobranoc, — wołały wszystkie głosy; „i wkrótce wszystko milkło, wszystkie szmery ustawały a na ich miejsce dawał się słyszeć koncert, który w mojej ukochanej ojczyźnie podczas lata nieustannie wznosi się ku Bogu, koncert morza, wodospadów i strumieni.“

Sceny zimowe mają mniej uroku. Wnętrze jednak domu grenlandzkiego, odmalowane przez autorkę, nie mniej ma dla nas niespodzianek jak rycina dodana do dzieła doktora Rink. Widzimy tam dziewczęta zajęte haftem na skórze, młodych ludzi czytających psalmy i przeglądających książki dla wyszukania w nich obrazków, które sami rysowali i malowali. Ci Eskimosi, potrzeba przyznać, bardzo podobni do Duńczyków; jakkolwiek ich dom, podobnie jak inne domy Eskimosów, składa się tylko z jednej wielkiej izby z drewnianą podporą dachu pośrodku i z drewnianym pokładem, który służy za łóżko, przecież przewiewa tam najczystszy duch chrześciaństwa i cywilizacyi. Potrzeba tylko pamiętać, że to są Grenlandczycy Godthiabu, najstarszej kolonia europejskiej w Grenlandyi.

Piśmiennictwo polskie.

(*Ostrożnie z ogniem. Uwag kilka nad obecną sytuacyą w Europie i nad naszem wobec tej sytuacyi stanowiskiem. Napisał Strażnik narodowy. Lwów. Nakład Księgarni Wł. Bełzy. 1877.*)

Autor, skreśliwszy dzisiejsze położenie Europy i rozebrawszy możliwe sposoby zakończenia dzisiejszej wojny, oraz skutki, jakie ona może w najbliższej przyszłości sprowadzić — nad czem się nie zastanawiamy, bo codzień tysiące podobnych uwag słyszeć można — przychodzi do pozytywnego, jak mniema, programu na dzisiejszą chwilę, a mianowicie żąda 1° założenia nowego pisma politycznego „Monitora polskiego“, organu poważnego, na czele którego stanęliby ludzie uznanej dla kraju zasługi, i które jako korespondentów we wszystkich stolicach miałoby ludzi zamożnych, zdolnych i wpływowych. 2° Niesienie ofiar Turkom tak z krwi jak i mienia, tj. wstępowania pojedynczych ludzi do armii tureckiej, przesyłania szarpi, bandaży, żywności i tp. Co do drugiego punktu, już pisma polityczne, zamieszczając odezwę twórców legionu polskiego, wzywającą pomocy i gorącemi słowy ją popierając, wyraziły tę samę myśl, która niezawodnie wdzięcznie się odbiła o każde serce polskie — o każde serce ludzkie. Co do pierwszej propozycyi, musimy ją uważać za najzupełniej niepraktyczną, na przeprowadzenie jej bowiem potrzebaby wydać z półmiliona zlr., których nie ma, i autor nie wskazuje zkądby ich wziąć, a gdyby były, to zamiast wydawać je na rzecz tak problematyczną, lepiejby obrócić na oświatę ludu. Tylokrotnie już podnoszono potrzebę założenia nowego dziennika politycznego i niejednokrotnie probowano zakładać nowe pisma, ale skutek okazał, że w obecnej chwili taka potrzeba nie istnieje i pieniądz wyłożony na te przedsięwzięcia został zmarnowany. Najświeższe przykłady *Ojczyzny* i *Kroniki codziennej* są wybitnym tego dowodem. Mamy we Lwowie dwa dzienniki, które razem nie mają 6 tysięcy prenumeratorów. Pisma te są względnie dobre, sprawą polską zajmują się gorliwie, a jeżeli nie stoją na stanowisku, na jakiem autor chce widzieć „Monitora polskiego“, to tylko dla tego, że kraj za mało daje pieniędzy na to. Gdyby liczba prenumeratorów tych pism wzrosła o dziesięć razy, byliby i korespondenci zdolni i wpływowi i byłoby wszystko czego autor sobie życzy. Ale ponieważ tego nie ma, ponieważ w kraju jest tylko 6 tysięcy ludzi interesujących się sprawami publicznemi i zdolnych ofiarować na ten cel 2 zlr. miesięcznie, przeto zkąd wziąć te półmiliona zlr.? czy rozłożyć na tych 6 tysięcy? ale w takim razie podatek ten dla nich będzie za duży, nie będą w możności płacenia go. Z drugiej strony godziłoby się zapytać, gdzie szukać tych „ludzi uznanej dla kraju zasługi“? Z jakiego stronnictwa mają być? Na jakiem polu zasługi położyli? — Boć najzasłużeńsi w kraju, tj. ci, co za ojczyznę krew swą przelewali, są potępiani przez stronnictwo, którego najwybitniejszym okazem są stańczycy, a ci których by to stronnictwo uważało za zasłużonych krajowi, nie mogą mieć uznania w stronnictwie patryotycznem.

Byłoby jednak bardzo pożądanem założenie dziennika politycznego dla ludzi, których fundusze nie wystarczają na prenumerowanie pism codziennych, dziennika, dwa lub trzy razy na tydzień wychodzącego, mniejszych rozmiarów i znacznie tańszego — tak na 8 zlr. rocznie. Takie pismo nie wymaga wielkich ofiar i przy dobrej woli niewielkiego grona ludzi mogłoby być do skutku doprowadzone. Pismo takie jest koniecznie potrzebne i powodzenie musiałoby znaleść. Czas do założenia takiego pisma obecnie jest najlepszy, kiedy ciekawość powszechna wypadkami na Wschodzie zaostrzona. Ludziom dobrej woli poddajemy tę myśl z tem ostrzeżeniem, że jeżeli nie pomyślą w czas o zaradzeniu potrzebie i tę pozycyę zajmą Jezuici, jak już tyle innych pozajmowali w skutek naszego niedbalstwa.

A. D.

TEATR.

(Pan Damazy, komedya w 4 aktach przez Józefa Blizińskiego, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie krakowskim, a przedstawiona we Lwowie po raz pierwszy 14go września 1877.)

(*Dokończenie*).

Jeżeli charakterystyka postaci jest wyborną, to za to w rozwinięciu fabuły i budowie komedyi dają się spostrzegać usterki. Pierwszy akt zaznajamia nas ze wszystkiemi osobami komedyi (z wyjątkiem Genia) i w zajmujący sposób przedstawia ogólną sytuacyę. Ale już tu, w samym zarodku fabuły, trafiamy na jakąś niejasność, niedokładność. Żegocina wzywa rejenta na konsultacyę, ale ostatecznie żadnej rady od niego nie zasięga, bo sama już sobie radę przygotowała, i tylko zwierza mu się z tajemnicy i prosi o pomoc w swataniu Seweryna z Halą. Przypuściwszy, że rejent jest koniecznie potrzebnym Żegocinie do swatania, i że zatem koniecznem było zwierzenie się, nie wiemy jednak dokładnie, na czem polegają

nadzieje Żegociny, pragnącej małżeństwa Seweryna z Halą. Czyż doprawdy ta przewrotna kobieta kocha tak bardzo Seweryna, że myśli tylko o zapewnieniu mu majątku? Jeżeli zaś tak nie jest, jeżeli, co właściwsza Żegocinie, myśli ona przedewszystkiem o sobie, to czyż ożenienie Seweryna z Halą daje jej pożądaną rękojmię? W tym względzie, powtarzam, panuje niejasność, którą widz uczuwa odrazu, ale spostrzega dopiero przy dłuższem wpatrzeniu się w sztukę. Akt pierwszy przytem przedłuża się po za naturalną granicę swoję, jaką jest przyjazd pana Damazego. Rejent, piszący telegram do syna i podsłuchujący pod drzwiami, jest zupełnie zbytecznym dodatkiem, i w skutek tego akt pierwszy, i w naturalnych granicach dość długi, traci zaokrąglenie. Scena podsłuchiwania, w innem miejscu umieszczona, byłaby wyborną, tutaj wygląda jak przyczepiona.

W akcie drugim i w następnych posuwanie się akcyi przedstawione jest po większej części w sytuacyjnych obrazkach, i zaledwie kilka jest takich momentów, które są węzłami intrygi, to jest wywołują dalszą akcyę, jak np. rozmowa Damazego z Mańką, Damazego z rejentem i jeszcze raz Damazego z Tykalską. W tych obrazkach, malujących sytuacyę, a zarazem dających sposobność do szerokiego rozwinięcia charakterystyki, złożone całe bogactwo sztuki. Scena przy obiedzie, w której rejent zapychając się pasztetem z gołębi, zastanawia się nad niesprawiedliwością ludzką względem zwierząt i analizuje idealną postać mickiewiczowskiej Zosi, karmiącej domowe ptastwo; rozmowy Damazego z Halą; sceny rejenta z synem, — wszystko to są ustępy, które wprawdzie nie posuwają akcyi ani o krok dalej, ale same w sobie są przepysznymi rodzajowymi obrazkami.

Za główną intrygę w „Panu Damazym“ musimy uważać sprawę testamentową, bo co się tyczy małżeństwa Hali, to poznawszy osobę Damazego, ani na chwilę nie lękamy się o losy jego córki i Antoniego; pan Damazy z pewnością nie zmusi Hali, aby poślubiła Seweryna. Otóż sprawa testamentowa dopiero pod koniec trzeciego aktu ruszać się zaczyna. Przebiegły rejent, rzekomy sprzymierzeniec Żegociny i Seweryna, kopie dołki pod tym ostatnim, uwiadamiając Damazego o miłośnym stosunku Seweryna z Mańką. Trzeba widzieć pana Damazego, jak przyjmuje tę wiadomość; wywołuje ona wulkaniczny wybuch jego uczciwości. Nie dość, że Mańka jest sierotą, jest ona przytem jego krewną, a któż nie wie, jak pokrewieństwo obowiązuje dobrego szlachcica. To być nie może, aby nieboszczyk Żegota nie pomyślał o losie swej wychowanicy! Pokażcie mi testament, woła Damazy, i wprawia w pewien niepokój samego nawet rejenta, który nie życzył sobie tak prędkiego rozwiązania testamentowej tajemnicy.

Ale rozwiązanie nie następuje jeszcze natychmiast, chociaż Damazy udaje się po wyjaśnienia do bratowej. Odbywa się tam burzliwa scena, której szkoda, że nie widzimy; szkoda, że nie wiemy nawet dobrze, co się tam stało? Czy Żegocina wręcz odmówiła pokazania testamentu? czy tylko umiała ominąć żądanie? Widzimy tylko przestraszoną Halę i wzburzonego Damazego, który powracając od bratowej, nic już nie chce wiedzieć, ani słyszeć, tylko co prędzej wyjeżdżać.

Na tem się kończy akt trzeci. Akt czwarty jest jakby dalszym ciągiem poprzedniego, bez żadnej przerwy. Zastajemy jeszcze Damazego w domu Żegociny, choć już parę godzin upłynęło od owej sceny burzliwej. Dla czego nie wyjechał? bo gościnna Tykalska nie chce go puścić w drogę bez przekąski. Podczas gdy się kurczęta pieką, a pan Damazy dąsa się na to, że go zatrzymują, Żegocina przez rejenta proponuje Damazemu układ i ofiarowuje Hali czwartą część mężowskiego majątku. Damazy, ciągle jeszcze wierząc w testament, przyjmuje układ z tym dodatkiem, że i Mańka, także krewna Żegoty, dostanie jakiś posag od Żegociny. Tymczasem cichutka Tykalska zwierza się Damazemu, że ma zapis na kilka tysięcy rubli od Żegoty i chciałaby go przelać na Mańkę. Z tego zapisu dowiaduje się wreszcie Damazy, że żadnego testamentu nie ma i że tym sposobem majątek brata, z wyjątkiem czwartej części, do niego należy, a nie do Żegociny. Następuje wyborna scena z Żegociną, w której ta ostatnia nie wiedząc jeszcze o odkryciu tajemnicy, gra rolę skrzywdzonej i traktuje Damazego jak chciwca i okrutnika. Damazy, uzbrojony tajemnicą, znosi to jakiś czas spokojnie, wreszcie bierze odwet, ale dobroduszność szlachecka nie pozwala mu na ścisłe zastosowanie sprawiedliwości; zostawia on pół majątku bratowej, a drugą połowę rozdziela między Mańkę i Antoniego, narzeczonego Hali. Tym sposobem Żegocina wychodzi dość obronnie z zawikłania, obronniej, należy przyznać, niż na to zasługuje. Najsurowsza i zupełnie słuszna kara dosięga Seweryna; traci on zupełnie grunt pod nogami i zelżony umyka.

Ze wszystkiego, co się wyżej powiedziało, wynika, że ujemnemi stronami komedyi są: pewna niejasność, pewien brak skrystalizowania fabuły i leniwy tok akcyi, która niemając uregulowanego koryta rozlewa się szeroko w sytuacyjnych obrazach. Ale znaczenie tych zarzutów znacznie osłabia ta okoliczność, że cała siła komedyi złożona nie w intrydze, ale w typach i charakterach. Postacie rejenta, Żegociny, Tykalskiej, Hali, Genia, a przedewszystkiem pana Damazego, który jest słońcem komedyi, nie są to jakieś przekradane typy z francuskich utworów, i tylko z polska ponazywane, ale zupełnie swojskie, a przytem oryginalne i świeże. Tylko stary Fredro umiał wydobywać i kreślić takie typy, ale i on nie stworzył ani jednej tak sympatycznej i serdecznej postaci szlachcica, jaką jest postać Damazego.

Wbrew dzisiejszemu prądowi, panującemu w komedyi „Pan Damazy“ wolnym jest od wszelkiej społecznej tendencyi. Tendencya jego jest czysto-moralnej natury, wymierzoną przeciw starym jak świat wadom ludzkim, chciwości i obłudzie. W kilku tylko miejscach przeciągnął autor barwną nić tendencyi mającej zastosowanie do prądów chwili obecnej, a to delikatnie wyśmiewając tych, co nie znając pozytywizmu, biorą go za jedno z egoizmem lub materyalizmem.

O wdzięcznem ugrupowaniu osób i o zajmujących kontrastach, które wynikają z tego ugrupowania, już wyżej mówiłem. Pozostaje mi jeszcze do innych zalet tej znakomitej komedyi doliczyć naturalność i żywość dyalogu. Każda tu osoba mówi swoim własnym a nie pożyczanym od autora językiem, bez czego zresztą nie możliwąby była pełna charakterystyka głównych postaci.

Co się tyczy przedstawienia „Pana Damazego“ na naszej scenie, to przedewszystkiem dzięki grze pp. Zamojskiego i Dobrzańskiego, którzy dźwigali na sobie główne role (Damazego i rejenta), i p. Ładnowskiego, który występował w drugorzędnej roli Seweryna, było ono w ogóle zadawalające. P. Zamojski, wyśmienicie ucharakteryzowany, miał tu obszerne pole do pokazania, jak rozumie typy staroszlacheckie, i umiał nadać oryginalną barwę postaci Damazego. Pan Dobrzański stworzył wyborny typ z rejenta i w swojem klasycznem „bez przechwałek“ był niezrównany. Pani German, celująca w roli starych rezydentek, (patrz „Dwie blizny“) była doskonałą Tykalską, a i pani Linkowska w roli Żegociny wcale dobrze na dwóch pierwszych przedstawieniach zastępowała panią Aszpergerową, jakkolwiek ta ostatnia, występując potem w tej samej roli, umiała wlać w nią znacznie więcej dystynkcyi. Pani Zimajer (Helena), jak zwykle w roli naiwnego dziewczątka, zachwycała publiczność grą swoją, choć prawdę powiedziawszy, za wiele w jej grze było utartej naiwności, za mało oryginalnego wdzięku. Pani Ładnowska, która od pewnego czasu znaczne robi postępy, miała jako Mańka dużo swobody w grze swojej. Tylko p. Pieniążek psuł ogólne wrażenie, nie tyle jeszcze może grą swoją i brakiem swobodnych ruchów, ile swą nieznośną fryzurą, która byłaby dobra na głowie perukarskiego chłopca lub kawiarnianego dandysa, ale nie na głowie poczciwego hreczkosieja Antoniego.

Józef Tretiak.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 29. września.

Za dni kilka już przypada termin zamknięcia Wystawy. Publiczność lwowska nadzwyczajnie się nią zajmowała, a w dnie świąteczne, pomimo nawet ulewnego deszczu po dwadzieścia tysięcy osób zwiedzało Wystawę, co jest bardzo dużo, zważywszy, że cała ludność Lwowa z dziećmi zaledwo 100 tysięcy wynosi. Zjazd z prowincyi niesłychany, przyjezdni po prostu przytułku znaleść nie mogą. To też należy się spodziewać, że nie będziemy długo oczekiwali na urządzenie nowej Wystawy we Lwowie. Najpraktyczniej by było, gdyby termin oznaczono już teraz, byłby on bodźcem dla wszystkich, którzy zechcą przyjąć udział w przyszłej Wystawie, a urządzającym dałby czas należytego przygotowania się i odpowiedniego urządzenia. Dzisiejszy budynek jest za wąski, częstokroć przecisnąć się nie można, a gdzież w takim zgiełku przypatrywać się przedmiotom. Jedna Wystawa księgarska tylko jest zawsze, nawet w niedzielę zupełnie samotną, przed wystawą pusto. Tak powszechny panuje książkowstręt. Ktoś oryginalną uczynił uwagę: co by to było, gdyby Turcy zgnietli Moskali, a Francuzi Prusaka i Polska w dawnych granicach stanęła, i nikt nas nie zmuszał do nauki? Czy byłaby wówczas potrzeba drukowania polskich książek? To też nie ma się czemu dziwić, że opuszczona przez publiczność wystawa księgarska stała się pastwą wody, która ją zalała całkowicie jakby nad nią żadnego dachu nie było. Dobrze, że to się stało z tak niepotrzebnym sprzętem jak książki, ale przecież woda również obficie może pozalewać i inne nierównie cenniejsze przedmioty jak wódki, których są bardzo cenne i liczne okazy, lub coś podobnego. Wartoby na przyszłość pomyśleć o lepiej zaopatrzonym dachu.

Dotąd słyszeliśmy tylko same pochwały na cześć wystawy, zaczynają się już jednak odzywać głosy surowej krytyki, i głosy te są nierównie ważniejsze, bo niedosyć się cieszyć, że coś mamy, ale należy zastanowić się, czego nie mamy, a co mieć byśmy powinni. W prawdzie po stuletniej niewoli przyszliśmy już do przekonania, że jesteśmy tak pod względem materyalnym zniszczeni, że widok kilkudziesięciu koni, krów i królików bardzo nas ucieszył, widok soli i nafty, drzewa i kamieni, dodał nam otuchy, że chociaż na ziemi nie wiele zostało, ale w jej łonie jeszcze są bogactwa, które pozwolą nam powetować straty. Z upragnieniem oczekiwać będziemy aż pierwszy zapał przeminie i poważna krytyka wyciągnie naukę dla kraju z wystawy tegorocznej.

* * *

Przechadzka po wystawie.

(T.) Wątpię, aby ktokolwiek z naszych czytelników już nie był na wystawie i własnemi oczami nie oglądał tego, o czem zamierzamy jeszcze tu raz mówić. Dla tego słowa moje niech będą uważane nie tyle za informacyę dla zwiedzających, ile za wspomnienia, przypomnienia dla tych, co już ją zwiedziwszy, odjechali w swoje strony.

Tak np. czy przypominają sobie państwo trzy wspaniałe buhaje, z których dwa należą do hr. Siemieńskiego, a jeden do p. Osmólskiego? Czyż nie prawda, że piękne, i że należy się im godność królewska między bydłem obojga płci na wystawie? Buhaje hr. Siemieńskiego imponują wzrostem i potęgą karków, buhaj zaś p. Osmólskiego jest mniejszy, ale biały, jak mleko, i gdyby to tak jakie trzy tysiące lat temu, to możnaby go było z wielkim zyskiem sprzedać do Egiptu na Apisa. Dziś mogłaby tylko skorzystać nasza opera i kupić go sobie do uświetnienia procesyi w „Aidzie.“

W oborach ks. Sapiehy i hr. Potockiego obok bydła dworskiego są także piękne okazy bydła włościańskiego uszlachetnionej rasy. Gdyby

tak jeszcze wielcy panowie zechcieli zająć się umoralnieniem ludu, jak się już po części zajmują uszlachetnieniem rasy jego bydła, to zaprawdę Galicya mogłaby wesoło patrzeć w przyszłość. Nie chcę jednak zaprzeczać, że uszlachetnienie rasy bydła włościańskiego zostaje w pewnym związku z oświatą ludu, która tam tylko skutecznie krzewić się może, gdzie trafia na dobrobyt.

A czy widzieli państwo séry w oddziale gospodarczym? Naturalnie, musieli państwo widzieć. Ja przynajmniej bardzo często tam zaglądam i z przyjemnością wzrok prowadzę po wielkich i małych plaskankach, zalegających stoły. Wewnętrzna treść tych sérów tak smacznie i szlachetnie wygląda, że powinnyby one znaleść jak największy odbyt przynajmniej w handlu krajowym. Z przyjemnością też zauważałem, że znaczniejsi właściciele sklepów korzennych we Lwowie porobili zakupna na wystawie.

Dotychczas nie wspomniałem ani razu o pawilonie arcyksięcia Albrechta; pod względem elegancyi, wzorowego urządzenia i bogactwa produktów jemu bez wątpienia należy się pierwszeństwo przed wszystkimi innymi pawilonami. Są tu produkta rolnicze, górnicze i rozmaite fabryczne: wódki, piwa, sery, naczynia żelazne, itd. pochodzą po większej części z dóbr Żywca, które Niemcy ochrzcili na Seybusch, pomimo, iż Żywiec jest jednem z najbardziej polskich miasteczek. Uczmy się od Niemców, ale brońmy się od nich.

Widzę, że nie mogę wybrnąć z tonu informacyjno-kaznodziejskiego, poprowadzę więc państwo jeszcze do jednej szafy w oddziale stolarskim i na tem zakończę niniejszą wędrówkę. W tej szafie za szkłem Przemyśl wystawił próby pisma rzemieślników przemyskich od 15 do 18 wieku, a zarazem dawne pieczęcie i znaki rozmaitych cechów: stolarskiego, kowalskiego, kuśnierskiego i innych. Ciekawe to bardzo szczegóły, a próby pisma świadczą, że wychowanie stanu rzemieślniczego w dawnych czasach nie było wcale tak zaniedbane, jakby się to nam dziś zdawać mogło. Dobrzeby było, gdyby obecna wystawa i ten mały zbiorek przemyski natchnął którego z naszych historyków chęcią zajęcia się stosunkami rzemieślniczymi w dawnej Polsce.

* * *

Z wystawy sztuk pięknych. Kończymy przegląd działu obrazów historycznych, obficie ale dość niefortunnie w tym roku reprezentowanego. Alchimowicza „Lizdejko z córką na ruinach świątyni Perkuna“ jest bez wątpienia znacznie lepszy od Uczty Wierzynka i Żółkiewskiego pod Cecorą, ale zbyt przypomina dekoracyjne malowidła. Bądź co bądź, jednak widać postęp w obrazach p. Alchimowicza; przypominam sobie o wiele gorsze obrazy jego na dawniejszych wystawach. Bolesława Łaszczyńskiego „Tajna wiadomość z czasów konfederacyi Barskiej“ illustruje podanie o tym wiernym kozaku, co na swojej głowie przeniósł przez czaty moskiewskie ważną wiadomość. Obraz przedstawia scenę golenia głowy. Niesmaczna to scena; kozak, który bądź co bądź jest bohaterem obrazu, bo jeżeli nie od jego męstwa, to od wierności zależało przewiezienie ważnej a tajemniczej wiadomości, wygląda tu jak rekrut pod brzytwą golibrody; artysta, jeżeli już chciał illustrować to podanie, winien był jakiś szczęśliwszy moment obmyśleć, gdzieby ręcznik i mydło nie było na pierwszym planie. Przytem figury konfederatów zbyt pękato i nieproporcyonalnie wyglądają.

„Zborowski przed sądem Zamojskiego“ Leona Picarda, ma niektóre podrzędne postacie bardzo udatne, ale główne najgorzej się udały panu Picardowi. Twarz Zamojskiego tak pospolita, że możnaby go wziąć za ekonoma, przed którego przyprowadzono leśnego złoczyńcę, złapanego na gorącym uczynku. Mówię „leśnego“, bo fuzya, czy garłacz w ręku Zamojskiego wygląda zupełnie jak corpus delicti. Po co ta fuzya w ręku Zamojskiego, doprawdy nie podobna odgadnąć. Zborowski też nielepiej wygląda, jak jakiś drab złapany w szkodzie.

Juliana Maszyńskiego rodzajowo — historyczny obrazek „Rok 1812“, któremu pewnej poetyczności w pomyśle odmówić nie można, przedstawia powrót rannego młodzieńca pod ojczystą strzechę. Dziwnem ten obraz odznacza się ubóstwem ugrupowania. Po trzy postacie ludowe po obu stronach u bram i trzy sztywne figury wojskowe pośrodku — oto jest ugrupowanie obrazu pana Maszyńskiego.

Na zakończenie muszę jeszcze wspomnieć o „Pastuszce ukraińskiej“ Alfreda Piątkowskiego. Proszę sobie wyobrazić gładziutką skałę, na krawędzi skały jakąś postać kobiecą w stroju wiejskim i parę owieczek, a dalej niebo atramentem powalane, i to jest „pastuszka ukraińska“. Gdzie się podziała typowa klasyczna Ukraina ze swoim stepem? Sądząc z obrazu pana Piątkowskiego o Ukrainie, możnaby myśleć, że step jest urojeniem poetów, a natomiast skaliste ściany spotykać się dają na Ukrainie na każdym kroku.

Z rzeźb, których w tym roku jeszcze mniej jak lat poprzednich, odznaczają się pięknem wykończeniem, utwory p. Teodora Rygiera: mianowicie trzy marmurowe biusty: Waszyngton, Julietta i jakiś trzeci bezimienny, ale bardzo piękny biust kobiecy; następnie biust Kopernika z terracotty i Madona, medalion marmurowy.

Piśmiennictwo niemieckie.

(*Sturmflut. Roman von Friedrich Spielhagen. Zweite Auflage. Leipzig, 1877.*)

Frydryk Spielhagen znany jest w Niemczech jako najznakomitszy romansopisarz. Człowiek to różnostronnego wykształcenia i wielorakiego doświadczenia w życiu. W Berlinie, Bonn i Greifswaldzie studyował z kolei medycynę, prawo, filologię i filozofię. Był następnie żołnierzem, nauczycielem domowym, docentem na wszechnicy, aktorem, profesorem w szkole żeńskiej, oficerem landwery. Tłumaczył z obcych języków i sam próbował pisywać nowele. Lecz dopiero już po ożenieniu się, mając lat 31, wystąpił z 4 tomową powieścią: „Problematische Naturen“ (Berlin, 1870), która ugruntowała jego sławę pisarską. Jako dalszy ciąg tej samej powieści wyszły następnie znowu 4 tomy pt. „Durch Nacht und Licht.“ W późniejszych swych dziełach Spielhagen stał się wiernym malarzem społeczno-politycznego życia swego narodu. Utwór jego pt. „Die von Hohenstein,“ poświęcony wypadkom 1848 r., spolszczony i drukowany był w *Kłosach*. W innej znów powieści pt. „Soll und Haben“ wypowiedział wiele gorzkiej prawdy szlachecko-polskiemu społeczeństwu w Poznańskiem. Pokazała ona jednak jak i następne utwory Spielhagena, że należy on do panującego dzisiaj w Niemczech mieszczańsko-demokratycznego stronnictwa, które wówczas tylko oddaje hold sprawiedliwości, jeżeli ta ma za sobą siłę. Ztąd też w znacznej części pochodzi i ta popularność, jaką zjednał sobie ten zkądinąd wreszcie wielce utalentowany pisarz.

Ostatnią powieść Spielhagena, którą wymieniliśmy w tytule, drukowano naprzód w odcinku *Pester Lloyda*, a obecnie ukazująca się już w drugiem wydaniu, ciekawem jest poniekąd znamieniem tego procesu umysłowego, jaki zaczyna nurtować w inteligencyi niemieckiej. Pesymizm, ujawniony w filozoficznym poglądzie na świat przez Hartmanna, na dziejowy rozwój cywilizacyi ludzkiej przez Hellwalda, w najnowszej dobie przeniknął do szkoły ekonomicznej i powieściopisarstwa. Zwątpienie o pracowitości i długotrwałości dzisiejszego porządku zaczyna ogarniać nawet te umysły, które dotąd słynęły z trzeźwego swego poglądu. Ekonomiczne dzieło Adolfa Wagnera (Allgemeine oder theoretische Volkswirthschaftslehre. I. Theil, 1876.) przyjęto w Niemczech z wielkiemi pochwałami, pomimo że autor zachwiał w samych fundamentach zasady współzawodnictwa (konkurencyi), pomocy własnej, nieograniczonego prawa rozrządzania własnością indywidualną itp. Te same dzienniki, które kilka lat tylko temu, gwałtownie uderzały na socyalistów z katedry, teraz nie szczędzą pochwał dla Wagnera, twierdząc, że dziełem swojem wprowadził ekonomię polityczną na nowe tory.

Wagner strąca z ekonomicznego piedestału dawne bożyszcze, znane pod nazwą własnego interesu. Fałszem jest — powiada — że na polu współzawodnictwa zwyciężają ludzie zdolniejsi, pracowitsi i bardziej zasłużeni; plac boju zwykle należy do tych, co posiadają najmniej skrupułów. Wprawdzie, Spielhagen nie powziął jeszcze tak rozpaczliwej myśli, atoli w trosce o przyszłość zastrasza go dzisiejsze rozwielmożnienie się własnego interesu. W ponurych barwach maluje obraz niemieckiego społeczeństwa: chciwość, gründerstwo, sprzedajność, gonienie za użyciem opanowały tam wszystkie klasy pieniężne. Interes prywatny idzie przed społecznym i znajduje poparcie nawet w sferach rządowych. Za nic zasługa, za nic oczywistość dowodów, jeżeli zawadzają do osiągnięcia pewnych egoistycznych celów.

Miliardy, zabrane Francyi jako kontrybucya, nie przyniosły szczęścia nowemu cesarstwu niemieckiemu. Rozniecił one gorączkę spekulacyjną, która rozkielznawszy namiętności klas pieniężnych, zadała straszny cios dawnej uczciwości niemieckiej. Zwłaszcza do wysokiego stopnia posunięto spekulacye kolejowe.

Właśnie na jednej z wysp morza Bałtyckiego — przypuszczamy, że na Rugii — pewna spółka zamierza wybudować kolej i port wojenny. Czy są one dla kogo potrzebne, czy jaką korzyść przyniosą miejscowej ludności i całemu państwu, — o to przedsiębiorcy wcale się nie troszczą; widzą oni tylko możność własnego wzbogacenia się, i to im wystarcza. Miejscowa ludność powiada, że woli gościniec bity, aniżeli kolej żelazną; prezydent tej prowincyi jest tego przekonania, że koszta wyłożone na budowę staną się kapitałem zatraconym; jenerał Werben podnosi trudności techniczne jej przeprowadzenia; wreszcie kapitan okrętu kupieckiego, Reinhold Schmidt, w naukowy i cudowny sposób zapowiada bliską powódź (Sturmflut), która prawdopodobnie zaleje płaski brzeg wyspy i zniweczy wszystko, co z wielkim kosztem i mozołem daloby się tam zbudować. Miliony wyrzuconoby więc darmo. Lecz cóż to obchodzi założycieli kolejowych (gründerów)? Otrzymawszy koncesyę, ściągną pieniądze z kieszeni publiczności, którą w najhaniebniejszy sposób okłamią i zwiodą szalbierczymi prospektami; trwożliwe jej wyczekiwanie przedłużą złudną dywidendą, którą sama zresztą zapłaci; głośne jej skargi zagłuszą bezczelnie na tak zwanych walnych zgromadzeniach, aż wreszcie prokuratorya przypomni sobie, że nie zawsze siła idzie przed prawem“.

Kiedy Reinhold, bohater powieści, wywody swoje o niewątpliwej morskiej powodzi rozwijał w zamku hrabiego Golma, przytomny temu, prezydent zauważył, że i innego rodzaju powódź grozi społeczeństwu niemieckiemu, która również, burząco i niszcząco zaleje jego powierzchnię i mętną a martwą swą wodą pokryje wszystkie miejsca, na których zdawało się ludziom, że ugruntowali na wieczne czasy swoje państwo i panowanie.“

Pesymistyczną tę wróżbę, wypowiedzianą na początku powieści, prezydent powtarza na końcu jeszcze z smutkiem raz, kiedy wraz z Reinholdem ogląda straszne spustoszenie, jakie zrządziła morska powódź, zapowiedziana naprzód przez dzielnego marynarza; a cały tok i nastrój powieści dowodzi, że i autor podziela zupełnie, albo przynajmniej w znacznej mierze, to przekonanie.

Jakaż to powódź grozi niemieckiemu społeczeństwu? Jakież to mętne i martwe wody zaleją dzisiejszą cywilizacyą i wyjałowią opanowany przez nią grunt? Autor odpowiedź na te pytania pozostawia domysłowi czytelnika; lecz z kilku dorywczych słów, z kilku napomnień — zdaje się — że socyalizm, rozrastający się coraz potężniej w Niemczech, jest właśnie tem strasznem widmem, które wyobraźnię Spielhagena napełnia przestrachem.

Niepodobna się dziwić, że pisarz sercem i przekonaniami ściśle zespolony ze stronnictwem mieszczańsko-demokratycznem, tak a nie inaczej myśli; wolno jednak tych obaw jego nie podzielać. Podziwiamy wprawdzie straszne obrazy Nieboskiej komedyi, lecz wraz z Juliuszem bez bojaźni wyciągamy dłonie ku nowym formom przyszłości. (D. n.)

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Kunasiewicz St.* Lwów r. 1809. Ustąpienie Austryaków. Zajęcie miasta przez siedmnastu żołnierzy polskich. Moskiewskie rządy. Opowieść dziejowa spisana na podstawie pamiętnika naocznego świadka, gazet, notatek i dokumentów. 8ka str. 336. Lwów 1878 1 złr.

— Przewodnik po Lwowie z zarysem historyi miasta, z planem teatru. 8ka str. 160. Lwów 1878. 90 ct. Z planem miasta 1.20

— *Plan król. stoł. miasta Lwowa* ze skorowidzem dawnych i nowych nazw, placów i ulic. Lwów 1877. 1 złr.

— *Rzochowski B. D.* Kilka słów o Aleksandrze Grozie i jego pismach. 8ka, str. 28. Lwów 1877. 40 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka

— Dzieł Juliana Bartoszewicza opuścił prasę tom II. i zawiera: Historya literatury polskiej potocznym sposobem opowiedziana. Wydanie drugie powiększone, tom II. (Okres czwarty, piąty i szósty).

— Muzeum Kopernika. Wiadomo, że wszyscy biografowie naszego astronoma, poczynając od Adryana Krzyżanowskiego, podają fakt, że Zygmunt I. zatwierdzając Kopernika na urzędzie administratora dyecezyi warmińskiej d. 10. lipca 1524 roku, wydał Mandatum regium pro administratore Copernico, i że dokument ten znajduje się w zbiorze Gereta. Komisya Muzeum Kopernika w Rzymie, pragnąc w swym zbiorze zgromadzić wszystkie dokumenta tyczące się Kopernika, udawała się kolejno do żyjących biografów astronoma toruńskiego z prośbą o zakomunikowanie jej dosłownego tekstu powyższego dokumentu, a przynajmniej o dokładne poinformowanie jej, gdzie się znajduje rękopism Gereta; lecz dotychczasowe starania bez żadnego pozostały skutku. W takim stanie rzeczy pozostaje komisyi tylko droga odwołania się do ogółu, a może znajdzie się ktoś taki, co za dość uczyni jej prośbie i nadeszle wierny odpis powyższego dekretu Zygmunta I. i objaśni ją co do rękopismu Gereta. W zbiorach muzeum znajdują się różne pamiątki z ostatniego jubileuszu Kopernika z 1873 roku, a pomiędzy innemi afisze teatralne z Krakowa i Lwowa, a także kompozycye muzykalne: Bętkowskiego, Adama Münchheimera, Adolfa Boguckiego i H. Chojnackiego; brakuje jeszcze afiszu warszawskiego z 19. lutego 1873 roku, oraz partytury Karola Kurpińskiego, ułożonej na hymn Ludwika Osińskiego. Ktoby posiadał powyższe przedmioty, oddałby prawdziwą usługę muzeum Kopernika, ofiarując te rzeczy do jego zbiorów. Co do kompozycyi Kurpińskiego, bynajmniej nie chodzi o autograf, lecz tylko o porządnie przepisaną kopię.

— W mieście Zbąszyniu bardzo pożądane jest osiedlenie się lekarza, Polaka, od dnia 1go października. Wszystkie pisma polskie proszone są o powtórzenie tej wiadomości.

— *Dyabeł*, czasopismo humorystyczno-satyryczne, wychodzi rok 9. w Krakowie. Obecnie pod nową redakcyą rozwija się bardzo pomyślnie i zajmuje poważne stanowisko w piśmiennictwie naszem. Nr. 17 zawiera dwie ryciny, jedną półarkuszową: *Z zadunajskich tryumfów!* przedstawiającą cara modlącego się do świętego Mikołaja, któremu moskiewskim obyczajem przyrzeka postawić dwie świeczki, jeżeli ten uratuje go z nieszczęścia. I drugą *W arenie domowych cnót* obrazek z krakowskich salonów. Treść numeru bardzo urozmaicona. Między innemi rzeczami spotykamy wiersz M. Rodocia: *Jak ludzie kłamać mogą*: i drugi *Złota młodzież*. Dyabeł jest nadzwyczaj zjadliwy, ale dziwić się temu nie można, gdy się zważy, że wychodzi na bruku krakowskim, gdzie stosunki tak opłakane, że uczciwemu człowiekowi wnętrzności mogą się przewrócić z bolu i zgrozy. Szlachetna tendencya *Dyabła* zasługuje na uznanie i poparcie ze strony publiczności. Pismo to jest nadzwyczaj tanie. Wychodzi w całym arkuszu (czasem z dodatkiem jeszcze) sumiennie zadrukowanym i kosztuje kwartalnie z przesyłką tylko 1.15 c.

— *Ekonomisty* tygodnika ekonomiczno-handlowo-społecznego wyszedł z druku Nr. 17 i zawiera: kongres socyalistów i zjazd internacyonału. Gorlicki teren naftowy. Zaproszenie przemysłowców naftowych na naradę. Lwowska wystawa rolnicza i przemysłowa. Górnictwo. Ruch handlowy. Sprawozdanie lwowskiej izby kupieckiej. Kursa handlowe. Ceny nafty. Korespondencye ze Stanisławowa, Tarnopola, Krakowa, Czerniowiec, Gdańska, Wrocławia, Wiednia. Sprawy kolejowe. Rozmaitości. Znaczenia ubezpieczenia na życie dla stanu kupieckiego. Ogłoszenia.

Jakkolwiek *Ekonomista* jest bardzo dobrze redagowanym, i jakkolwiek pismo to może oddać wielkie usługi krajowi, to jednak znając obojętność naszą na rzeczy najpotrzebniejsze, byliśmy w obawie o los tego pisma. Obecnie możemy podzielić się z czytelnikami pocieszającą wiadomością, że *Ekonomista* otrzymał debit pod zaborem moskiewskim i wskutek tego może liczyć, że byt jego jest zapewniony.

— Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego opuścił prasę tom III. dzieła Fryderyka Skarbka *Dzieje Polski*: królestwo polskie po rewolucyi listopadowej, doprowadzone do roku 1862.

— Łódź będzie miała dwa teatra, jeden dotychczasowy Sellina, drugi zaś którego budowa już się kończy, wystawiony przez konsorcyum kapitalistów. W tym ostatnim z dniem 1. października osiedla się pan Teksel i ma zamiar bawić w nim przez cztery miesiące.

— Państwo Woleńscy opuścili scenę lwowską i udali się do Warszawy, gdzie w tych dniach będą debiutować w tamtejszym teatrze rozmaitości.

— Zakrzewski tenor lwowskiej opery, wyjechał do Kijowa otrzymawszy we Lwowie dymisyę. Jego miejsce zastąpi jakiś Włoch czy Niemiec.

Pani Modrzejewska w Ameryce.

— Otrzymujemy w tej chwili z różnych stron wiadomości o występach pani Modrzejewskiej w San Francisco. Przed nami leży afisz; początek tego afisza brzmi jak następuje:

„First appearance on the American Stage of the celebrated Polish Artiste *Helena Modjeska*, from the Imperial Theatre at Warsaw, in her renowned Impersonation, of *Adrienne Lecouvreur*, newly translated from the French expressly for this occasion".

„Wednesday and Thursday, August 22 d and 23, Romeo and Juliet, Helena Modjeska as Juliet.

„Friday Evening August 24, Benefit of Helena Modjeska.

„Saturday Evening August 24 Faewell Benefit."

(Pierwsze wystąpienie na amerykańskiej scenie sławnej polskiej artystki Heleny Modrzejewskiej z Cesarskiego teatru w Warszawie, z nową obsadą: „Adryanna Lecouvreur." Nowy przekład z francuskiego umyślnie na tę sposobność.

We wtorek i środę 22. i 23. sierpnia Romeo i Julia Helena Modrzejewska, jako Julia. We czwartek wieczorem 24. sierpnia benefis Heleny Modrzejewskiej. W sobotę wieczorem 24 sierpnia pożegnalny benefis.

Oto wyjątki sprawozdań niektórych dzienników w wiernym przekładzie:

„Jakże tu określić Modrzejewską?

„Jest ona wzrostu średniego, ale postawa jej wysmukła i pełna wdzięku, sprawia, że się prawie wysoką wydaje."

„Posiada przytem piękność poetyczną kobiet północy".

„Ubranie jej odznaczało się wysokim gustem, a aksamitny głos czarodziejski wpływ wywierał. Grała jednem słowem cudownie. Modrzejewska jest aktorką tragiczną, komiczną, poetką, słowem wszystkiem, czem może być kobieta obdarzona wyższem poczuciem i duszą kochającą".

„Artystka ta posiada talent wypowiedzenia roli tak jak ją czuje, i dla tego to wypowiada ją tak dobrze".

Inne dzienniki nazywają ją polską Rachel.

„Twarz jej, pisze znów recenzent, (*Morning Chronicle*) wyraża wiele inteligencyi i łączy w sobie rysy Siddonsa i Ryszarda Wagnera (!!). Grecka regularność rysów przypomina Siddonsa, podczas kiedy siła i wyrazistość dolnej części twarzy podobną jest do wynalazcy muzyki przyszłości. Angielski jej język nie jest ani tak jasny ani tak łagodny jak pani Nelson, Rose Eytinge lub Bowers, znacznie atoli lepiej wymawia od pani Janauszek a nawet Stelli, która zanadto wybitnie każdą syllabę markuje."

Recenzent „Evening Mail" pisze między innemi:

„Krótko mówiąc, pani Modrzejewska jest żyjącem wcieleniem sztuki; w scenach miłosnych z Maurycym, w scenie zazdrości z księżną de Bouillon, a głównie w scenie otrucia się wonią bukietu i konania, gra pani Modrzejewskiej była wzorowo wykończoną we wszystkich szczegółach i zapewniła jej tryumfalne powodzenie. Panie Ristori, Landers, Bowers, Rachel i Viardot Garcia były słusznie sławione w tych i tym podobnych scenach. Pani Modrzejewska wyrównywa im z pewnością, jeżeli ich nie przewyższa."

Korespondent nasz z Ameryki dodaje:

„Od czasów przedhistorycznych (San Francisco liczy dopiero 28 wiosen) powodzenia takiego nie pamiętają. Artystka po angielsku mówi równie płynnie jak po polsku. Po czwartym akcie sam słyszałem na własne uszy w foyer teatralnem jak dyrektor teatru p. Mac Cullongh mówił do niej:

— Radbym ażeby wszyscy moi artyści i artystki mówili po angielsku tak jak pani."

Jutro dodamy jeszcze kilka szczegółów.

Szkoły.

— Do 8klasowej szkoły żeńskiej w Krakowie zapisało się w b. r. 1.100 uczenniс.

— Do uniwersytetu warszawskiego przystąpiło w b. r. 171 uczniów, z tych na wydział historyczno-filologiczny 20, fizyko-matematyczny 15, prawny 42, medyczny 49.

Przemysł.

— Pod Terespolem w r. z. ze szczupłemi środkami, lecz przy żelaznej wytrwałości p. Jan Jankowski założył fabrykę masła prasowanego i serów holenderskich. Obecnie masło p. Jankowskiego jest przepłacane w Warszawie i poszukiwane, jako jedyny wyrób krajowy, dorównywający najlepszym tego rodzaju wyrobom francuskim. Fabryka ta rozwija się ciągle i zbawiennie oddziaływając na okolicę, która biorąc przykład z wytrwałego pracownika, zaczyna z nim współzawodniczyć i do gospodarstwa mlecznego wprowadzać najnowsze ulepszenia.

— *Kuryer Warszawski* przytacza przykład pomyślnego i prędkiego rozwoju drobnego przemysłu: Pewien właściciel dystrybucyi przed kilku tygodniami rozpoczął fabrykacyę portmonetek, pugilaresów itp. przy pomocy jednego tylko robotnika. Obecnie powodzenie i osiągane korzyści wpłynęły na powiększenie liczby robotników aż do trzech. Ten przykład powinien służyć innym za wskazówkę i pobudzić do rozwoju przemysłu, a tem bardziej do fabrykowania produktów, których sprowadzanie z zagranicy nie jest korzystnem, gdy mogą być na miejscu produkowane i wiele rąk zatrudniać.

ROZMAITOŚCI.

— Dowiadujemy się z „Gaz. Lw." że na pomnik dla Gołuchowskiego złożone zostało 16.625 r. 15 ct — a jakkolwiek ze spisu dawców, którymi są gminy i urzędnicy sądowi, wnosić można, iż składki te dają się tylko jako malum necessarium, i są nie jako zbierane w drodze urzędowej, w każdym razie poważna suma złożona wskazuje na wielki upadek ducha obywatelskiego.

Więc tam, gdzie Mickiewicz, Kołłataj, Rejtan nie mają pomników, znajdują się tysiące dla Gołuchowskich!!!

═ Czytamy w „Nowinach:

„Z dróg żelaznych, których przeprowadzenie w cesarstwie rossyjskiem się projektuje, wymienić należy jako więcej interesującą i mogącą mieć ważniejszy nawet na ekonomiczne stosunki wpływ linję z Mińska do Brześcia Litewskiego.“

Są dwa miasta tego nazwiska jedno leży przy drodze żelaznej Warszawsko-Brzeskiej, drugie przy Brzesko-Moskiewskiej. O którym więc Mińsku mówią „Nowiny“ trudnośnię domyśleć.

═ Brak świadków. Do Gazety Kieleckiej piszą o następującem zdarzeniu: Na folwarku Gajówka, w pow. Pińczowskim, przed kilku tygodniami skradziono krowę Zarządzający folwarkiem ekonom zaczął śledzić, i po długich poszukiwaniach, odkrył skrytkę, gdzie złodzieje z zabitej krowy mięso przechowują, a była nią... kostnica przy kościele w Pińczowie..

Zawiadomiona policya, nie rozgłaszając o fakcie, zaczaiła się w kostnicy, i o godzinie 1-ej po północy schwytała dwóch drabów, przybyłych celem zebrania resztek mięsa i skóry z ukradzionej krowy.

Miejscowa władza, po spisaniu protokołu, odesłała schwytanych w kostnicy ludzi sądowi, lecz ten, dla braku świadków przy spełnieniu kradzieży, uznał za właściwe uwolnić ich od odpowiedzialności.

═ Dochodzi nas wiadomość, że projekt urządzenia nad brzegiem Wisły w Warszawie bulwaru i zabudowania go eleganckiemi domami, podniesiony już parę miesięcy temu przez zagranicznych kapitalistów, zyskuje prawdopodobieństwo urzeczywistnienia. Jak zapewniają, interesowani w przeprowadzeniu tego projektu starają się pozyskać wszelkie potrzebne ku temu upoważnienia władz miejskich i rządowych. Życzymy im powodzenia!

═ Przed mniej więcej 7 latami opuścił kucharz T. żonę swoję z 5 dzieci dla poszukania sobie miejsca bez żony, gdyż nikt go z familią przyjąć nie chciał. Odtąd nie dał żonie swojej żadnej o sobie wiadomości. Żona tymczasem poszła w obowiązki i była na ostatku gospodynią w dworze pakosławskim pod Lwówkiem. Tu poznawszy się z owdowiałym, już doletnim, lecz zamożnym ogrodowym z Witomyśla, poszła za niego, kiedy na jej wniosek sąd uznał pierwszego jej męża za umarłego. Ten jednak wrócił do niej przed niejakim czasem, lecz ona go nie przyjęła. Mimo to chce on teraz upomnieć się o prawa swoje. Sprawa to będzie ciekawa, ile że interesowane w niej trzy osoby są wyznania katolickiego, pierwsze więc małżeństwo wedle prawa kanonicznego tylko przez śmierć jednego z małżonków rozwiązanem być mogło, — drugie zaś jest nieprawne, podczas kiedy ze strony prawa cywilnego i drugie małżeństwo zupełnie jest prawnem.

═ Do ambasadora rossyjskiego w Berlinie p. Oubrila, jak donosi jedno z czasopism petersburskich, zgłosił się jakiś Niemiec, nazwiskiem Gustaw Neuman, proponując nabycie od niego sekretu wysadzania w powietrze statków nieprzyjacielskich. Wynalazca pragnie nagrody 200.000 rubli.

═ Znakomity wodospad Niagara stracił w tych czasach jednę z najpiękniejszych swych ozdób — mianowicie skałę „Table-Rock“, która się zawaliła. Ogromna ta skała wznosiła się nad wodospadem do 60 stóp wysokości w kształcie węższej strony okrętu. Na „Table Rock“ znajdowało się wyciętych więcej jak 4.000 nazwisk rozmaitych podróżników zwiedzających wodospad.

═ Straszny wypadek zdarzył się w zeszłym tygodniu we wsi Baranówce w powiecie nowo-aleksandryjskim. Podczas nabożeństwa, w chwili kiedy cała synagoga z powodu świąt izraelickich zapełnioną była modlącymi się, załamała się galerya, na której znajdowały się kobiety i dzieci. Około 30 osób odniosło silne uszkodzenia.

═ W archiwum miasta Mławy z lat 1671—1686 znajduje się następujący wyrok śmierci na świętokradzcę:

„Roku 1684 wysadził Pan Bóg zwierzchność na miejscu swojem, która żeby obrazy boskiej przestrzegając sprawiedliwie, o krzywdy ludzkie, łupiestwa kościołów bożych, dokumentnie doszłych, opanowała się. Napominając przez Dawida św. w psalmie pięćdziesiątym szóstym: „Sprawiedliwie sądźcie synowie ludzi, albowiem ja sprawiedliwości wasze sądzić będę“. Biorąc na szalę sumienie, każdy swoje, kościołów i krzywdę, płacz do Boga, suplikę do sądu, zebranie sprawiedliwości przedsiębiorąc, opuściwszy wszystką marność świata, fawor wyniosły, na stronę odstąpiwszy od wszystkich respektów, oczy od wszystkiego zawiązawszy. Pereat mundus, fiat justitia. Niech świat ginie, a sprawiedliwość święta niech się na tronie przykazań boskich osadza. Więc zważywszy niepoczciwe życie, kilkoletnie kradzieże kościołów, boskich, łupiestwa pobożnych ludzi, na bożą chwałę groszów nocnemi sposobami wyłupywanie i ludzkie nieznośne krzywdy, przy instygowaniu własnego dziedzicznego pana na swego poddanego, Bartłomieja Olbrasa, sąd niniejszy wójtowski mławski zważył wszystkie okoliczności i tak decyduje:

„Lubo na większą zasłużył karę ten pomieniony Bartłomiej Olbras, a to za okradzenie ośmiu kościołów, ludziom zaś innym różnej kondycyi, za wiele gór. komór, izdeb, stodół i innych, różnemi sposobami wymyślanemi, kradzieżą, zrabowanie i zrujnowanie, lżejszą karę decyduje, być ma straconym.

Najprzód za kościołów bożych krzywdę, dobywanie się, dotykanie się słupków, w których na chwałę bożą grosz zgromadzony był, podjąć karę pod szubienicą przez ucięcie ręki prawej, i na ukazanie się wszystkim żyjącym przybić onę do szubienicy.

Za insze ludzkie kradzieże ma być obwieszon.“

═ Figaro londyński powtarza następującą anegdotę, opowiadaną niedawno przez pewnego słynnego muzyka o królu bawarskim, znanym protektorze Wagnera. Tenże spotkał pewnego razu w górach człowieka o kulach i zagadnąwszy go, zapytał, coby za przyczyna była jego kalectwa: „Jestem ranny, mój panie, odpowiedział zapytany.

A to w jakiej bitwie, kiedy, gdzie?

„Pod Sedanem“. — „Pod Sedanem?... hm!... a cóż to mnie nie znacie?“ — zapytał król łagodniejszym tonem. — „Nie“ — była krótka odpowiedź. — „Jestem waszym królem“. Inwalid wyprostował się i po żołniersku rękę podniósł do kapelusza.

— „Powiedzcie mi, jakim to sposobem być może, że mnie nie znacie?“ — zagadnął Ludwik Bawarski. — „Ot, po prostu — Wasza Królewska mość nie bywasz nigdy przed frontem, a ja — w operze!“

Jeśli to nie umyślna złośliwość, to w każdym razie nie bardzo przyjemna prawda, którą król-meloman znalazł przypadkiem na drodze.

═ Na egzaminie. — Co mi pan powiesz o panowaniu Ludwika XIV?

— Nic, panie profesorze.

— Dla czego?

— Bom się tego wcale nie uczył, ojciec mi zabronił, twierdząc, że to był wiek pełen zepsucia.

═ Lukullusowa uczta. Takiem istotnie mianem można ochrzcić traktament, jaki urządził niedawno angielski admirał Russel dla oficerów swojej eskadry.

Pośród ogrodu wykopano głęboki bassen, cały wyłożony marmurem. Do bassenu tego wlano 600 butelek koniaku, tyleż rumu i 1.200 but. malagi, włożono 600 funt. cukru i 200 muszkatułowych gałek; nadto w stojących obok beczkach znajdowała się gorąca woda, w które; pływało 2,000 cytryn. Po bassenie krążyła mała łódka wyżłobiona z drzewa acajou, z której znajdujący się wewnątrz chłopczyk napełniał szklannice gości.

Szkoda, że kronikarz, opiewający dzieje tej wspaniałej uczty, zapomniał zawiadomić nas, ilu w bankiecie brało udział marynarzy, i w przeciągu jakiego czasu łódka z drzewa acajou osiadła na mieliźnie.

═ W Anglii umarła niedawno jedna z najważniejszych kobiet świata, jeżeli ją oceniać będziemy na... kilogramy.

Była nią niejaka Rut Bernton, zwana także Fanny Wallace. Swojego czasu po cyrkach i hipodromach Zachodu podziwiano jej atletyczną budowę i wzrost. Od kilku lat schroniła się w zacisze domowe, na łono rodziny, a doczekawszy 54 lat wieku, umarła, mając 7 stóp i 4 cale wysokości, a 585 funtów wagi ciała. Potrzeba było siły ośmiu ludzi, aby jej trumnę spuścić do grobu. Nieboszczka była dobrą żoną, czułą matką i używała w całej okolicy wielkiego poważania nie tylko na funty. Mąż jej podobno był jak laska szczupły – ztąd para ta przyjemny dla oka tworzyła kontrast!

═ Ogród chiński. Przy ulicy X. ogromny szyld opiewa co następuje:

„Tu jest Ogród Chiński
oraz obiady i kolacye na sposób
ograniczony“.

Ciekawa rzecz, czy to ograniczenie stosuje się do porcyj, czy też do kredytu?

═ Podług Figaro opera paryska otrzymuje rocznej subwencyi 800,000 fr. Wspomniane pismo twierdzi, że roczna subwencya głównych scen europejskich przedstawia się w następujących cyfrach: berliński teatr dworski pobiera 700.000 franków; teatr dworski w Stutgardzie 625,000 fr.; teatr dworski w Dreznie 400.000 fr.; w Wiedniu 300.000 fr.; w Kopenhadze 250,000 fr.; w Carlsruhe i w Weimarze po 250.000 fr.; w Monachium 195,000 fr.; w Sztokholmie 150,000 fr.; San Carlo w Neapolu 300.000 fr.; La Scala w Medyolanie 175.000 fr.; teatr królewski w Turynie 60,000 fr.; Pergola we Florencyi 40.000; Carlo Felice w Genui 10.000 fr.; Apollo w Rzymie 290.000 fr.; teatr Belliniego w Palermo 120.000 fr.

Od Redakcyi.

Szanowni prenumeratowie są proszeni o wyrażenie jakich książek żądają na premie, bez wyraźnego zażądania bowiem nie wysyłamy, ale pozostawiamy wybór prenumeratorom, i tylko na wypadek wyczerpania którego dzieła, posyłamy inne. Premie mogą być żądane tylko do 15 października, późniejszych żądań nie będziemy w możności uwzględnić.

Wszyscy prenumeratorowie, składający przynajmniej półroczną prenumeratę, mogą żądać bezpłatnego dołączenia czasopisma *Wystawa krajowa*.

Na liczne reklamacye o jakiś Nr. 52 odpowiadamy, iż takowy wcale nie wyszedł i nie wyjdzie, o czem łatwo się przekonać gdy Nr. 51 jest z dnia 26 sierpnia, a z następnej niedzieli dnia 2 września jest Nr. 1. Na Nrze. 51 oznaczono koniec tomu 5. a Nr. 1 rozpoczyna tom 6ty.

Kasyno w Kołomyi. „Wystawa“ wysyła się najregularniej razem z „Tygodniem“

W. Pan. J. Ż K. w Oleszycach. Abonamentu miesięcznego na „Tydzień“ nie ma. Pojedyncze Nr. po 50 c. dla tego nie mogliśmy pokombinować przysłanej prenumeraty. Prosimy o uzupełnienie do końca kwartału żebyśmy mogli w porządku do ksiąg zapisać.

W. Pan K. B. w Ostrowie. Wundta dzieło składa się z dwóch tomów. Kompletu rozrywać nie możemy. Prosimy o inny wybór.

W. Pan J. Cz. w Tarnopolu. W. Pan ma przedpłacone na nowy rocznik tylko za jeden kwartał, premjum w książkach więc będzie się składało z jednego tomu.

PP. autorów, którzy życzą aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 5.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.